ŚWIAT DZIEWCZĄT



Nr. 5

cena 40 gr.

Rok I Warszawa, dnia 10 lutego 1939 r. Nr 5

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-go 10-go i 20-go KAŻDEGO MIESIĄCA

to nie jest takie trudne

Czy zauważyłyście kiedy, jak ktoś, komu życie położyło już wiele lat na barki i nasypało siwizny we włosy, czyta np. gazetę? Odsuwa ją daleko od siebie. W okulistyce tłomaczy się to wysychaniem soczewki. Promienie przecinają się... zresztą pouczy was o tem fizyka.

Przedwiośnie życia ma tę rzecz wspólną z życia jesienią. Nie widzi tego, co leży blisko. Dalekie jest i upragnione, i ciekawe. Bliskiego nie chce się, nie czuje i nie ceni.

Ostatnim razem mowa była o narodzinach, różanych, jutrzenkowych narodzinach myśli społecznej. Obudzić mogła ją nietylko klasa i jej potrzeby. Serce mogło zaboleć i ścisnąć się — a zaraz potem — rozszerzyć współczuciem na widok wychudłego kota i popędzanego batem konia, któremu niekute kopyta ośliznują się po bruku. Po przeczytaniu „Anielki" Prusa, ujrzeniu Chaplina na ekranie, posłyszeniu, jak ktoś ze starszych wymieni straszną cyfrę bezrobotnych. Zdarzyć się może spotkanie małego dziecka na ulicy, poznającego najbardziej trujący z zawodów — żebraninę. Zdarzyć się może jeszcze wiele rzeczy do których tu nieraz wrócimy, bo przecie poto wchodzicie w życie, żeby tych złych rzeczy było coraz mniej, a dobrych coraz więcej. Inaczej — niewiedzieć poco istnielibyśmy tu na ziemi.

Jest w tem wszystkiem jednakże jedna rzecz dziwna i smutna, którą trzeba sobie oświetlić jasno i oby jaknajwcześniej. Ach, pięcioletnie dziecko powinnoby ją właściwie już dobrze zrozumieć. Dlaczego przejmuje, dlaczego uderza nas poprostu każda sprawa daleka, a chodzimy jakby poomacku, jakby głusi i ślepi w malutkim, najwłaśniejszym kręgu domu? Dlaczego burzy się w nas, jak gotowa do wybuchu lawina, poczucie sprawiedliwości, na widok *komuś* i przez *kogoś*, wyrządzonej krzywdy, a jakaś zła siła uzbraja nasze własne ręce? Dlaczego gotowe jesteśmy zaharować się dla wprowadzenia ładu w większej społeczności, a siejemy zamęt w swojej mikroskopijnej — wśród tych dwuch, trzech, lub — na szczęście — pięciu osób, składających się na rodzinę.

Przyjrzyjmy się tym przykrym sprawom. Weźmy pod światło, jak wątpliwą kliszę, szereg faktów, którym na imię jest „codzień", których już nie zauważamy w zbyt bliskiem polu widzenia.

Czyż nie miło jest ustąpić w tramwaju miejsce obcej, starej pani, dźwigającej ciężki koszyk? Czy nie przelewa się przez serce uczucie: trzeba tak zrobić i czy nie jest nam po tym fakcie dziwnie spokojnie, jak po radośnie spełnionym obowiązku?

A w domu? Czy przychodzi nam do głowy *czemprędzej* ustąpić miejsce babci, wchodzącej do pokoju z naszą własną, zacerowaną pończochą?

Uczuciem obrzydzenia napełni nas z pewnością widok kłócących się przekupek, jeśli już raz wybierzemy się na targ po tę sałatę. A ileż razy wybuchają w domu te długo nie kończące się „ząb za ząb" kłótnie o książkę, o pióro, o niesmaczną potrawę, o niemodną sukienkę, o pójście do kina, o — poprostu — o ostatnie słowo, o to przysłowiowe „moje na wierzchu", głupi, krzykliwy triumf postawienia na swojem.

Ileż szacunku odczuwamy dla ludzi pracy, ludzi hartu, oddających życie drugiemu człowiekowi, obcym ludziom, gromadzie.

Szacunek ten przychodzi opieszale, lub nawet nie powstaje często myśl o jego możliwości, jeśli chodzi o zważenie, sprawiedliwą ocenę nieutrudzonej pracy rodzonego ojca, który tak się szarpie w codziennym mozole, że nie ma nawet sił ucieszyć się nami, wejrzeć w nasze sprawy, *pozwolić* sobie na radość przyjacielskiego z nami koleżeństwa. Czy umieliśmy postawić pierwszy krok na drodze tego zbliżenia, sprawić, aby dom zakipiał radością podzieloną, radością nietylko naszą, ale i — przedewszystkiem — jego?

Chętnie pomożemy w lekcji koleżance — osobie równej sobie, lub czem innem imponującej, ale cierpliwie zeszyć brzuszek rozprutego misia, który należy do „nieznośnego bachora" — na nieszczęście swoje — młodszego brata — na to nas już nie stać. Tem — niech się zajmują starsi.

Każde z nas przejmie się „ważną" sprawą ciężkiej pracy robotnika w fabryce — ale zadeptać podłogę nad którą biedzić się potem będzie służąca — to zwykła rzecz.

Wytężamy umysł w kierunku lepszej organizacji państwa, Europy, świata — ale przewrócić do góry dnem wszystkie rzeczy w szafie — to przecież tylko poszukiwanie chustki do nosa, czy tubki kleju. „Jakieś tam" ręce (te swoje, najbliższe przecie) doprowadzą to wszystko do porządku.

Na zebraniu samorządu rozumiemy dobrze konieczność kolejnego zabierania głosu, kurtuazji przemówień, poszanowania cudzego zdania. Ale niech sporna kwestja wyłoni się w rodzinie — można nikomu nie dać dojść do słowa, zlekceważyć cudzy sąd, rzucić mocne słowo o zacofaniu, krzyknąć i trzasnąć drzwiami.

Jeśli zdarzy się wizyta mało, lub zupełnie nieznajomej pani, wpuści się ją uprzejmie, grzecznie powita, poda krzesło, miękko zapewni „zaraz poproszę" tego, do kogo dana osoba ma interes. Rodzonej matce nie odpowie się czasem na najtkliwsze „dzień dobry", wzruszy ramionami, albo ledwie raczy coś odburknąć, dociągając rano uparty rzemyk teczki.

Rzeczy te leczyć trzeba jak chorobę. Rzeczy te bliskie i dlatego niezauważane, jak deseń na tapecie w pokoju, w którym się mieszka tak dawno, trzeba przedewszystkiem zobaczyć. A potem o nich pomyśleć. A potem...

Bo zanim zaczniemy budować jedno wielkie gniazdo w którem ciepło i miękko ma być wszystkim ludziom, kostniejącym na wichurze dalekich wód i lądów, powyrzucajmy z naszego własnego wszystkie kłujące osty. Znieśmy do niego jaknajwięcej puchu. Sprawą tą pokierować musi wielka siła, której odpowiednikiem jest wielkie, bardzo wielkie słowo — *Miłość*.

W. Borudzka

BIEDNA KRYSIA

— Krystyno, skarbie, na 6-ą masz być u Janki. Czy to należy do moich obowiązków, twój rozkład dnia?

— Daj mi spokój, Mamusiu. Wolałabym dziś nie iść.

— Taak? No, a jak będzie z jej algebrą? Nie trzeba było zapewniać pani Horzelskiej, że twój genjusz matematyczny jest całkowicie na usługi jej córeczki. Słówko się rzekło...

— A kobyłka odwiązała się od płotu. Przysłowia ojczyste nie są mi obce. Ale jak to było z tą kobyłką mamusiu? Czemu nie klaczką? Czy to starosłowiańskie?

— Oho, niezdrowe akademickie naleciałości. Zanim Hala zrobi dyplom, twoja reprezentacyjna inteligencja nasiąknie humanistyką. Zbieraj się, córeczko. Wiesz, że Janka jest zaziębiona i nie może przyjść. Nie zapomnij tylko szalika.

— ciepłych trykotów i rękawiczek. Umiem to na pamięć, mamusiu. Ale widzisz nie jestem pewna śnieżności mego kołnierzyka.

— Chodź no tutaj, zobaczę. No, morus z ciebie patentowany. Czy naprawdę wymagasz żeby matka pracująca poza domem — oddana bezrobotnym — i kołom rodzicielskim —

— i kołom rodzicielskim — sama prała twoje kołnierzyki. Nie, drogie dziecko. Sama wykrzykujesz na wszystkie fronty o równouprawnieniu. I nie myślę chować niedołęgi, która będzie się całe życie rozglądała po świecie za kimś, kto jej upierze — kołnierzyk. O, ale co to znowu? Pokaż no piętę!

— Dziura, mamusiu. Przestrzeń wypełniona moją własną skórą.

— Szczególny sposób hartowania. Przynieś w tej chwili świeżą parę. Co za hańba w rodzinie! Czternaście lat — i dziurawa pięta. Nie mogłaś wczoraj zacerować?

— Nie chciało mi się.

— Przynieś w tej chwili drugą parę.

— A gdzie są moje pończochy mamusiu?

— Gdyby były tam, gdzie je wczoraj raczyłaś posiać razem z torebką, musiałabyś szukać w kredensie. Są w szafie.

— Już lecę.

— Uważaj! druga półka od góry z lewej strony. Włożyłam tam i czysty kołnierzyk, który dzięki twemu niedbalstwu — prałam — racz to zauważyć, o drugiej w nocy.

— Przepraszam mamusiu — już nigdy...

— No, w to nigdy, daruj, ale nie uwierzę. Na początek niech będzie chociaż czasem. Ale czekaj. Pokaż no pazurki. Oczywiście. Różowy lakier ma swoisty wdzięk w czarnem obramowaniu. Mogłabyś wziąć nagrodę na pokazie wykwintnej pielęgnacji rąk. Czy „Świat dziewcząt" nie urządzi czasem takiego pokazu.

— Nie naśmiewaj się z mego pisma mamusiu.

— Przeciwnie. Mam nadzieję, że pomoże mi ciebie wychować. Idź umyj te ręce.

— Mamusiuuuu! Gdzie szczotka?

— Jeśli ty byłaś dziś ostatnia w łazience, to z pewnością za wanną.

— Rzeczywiście. Nie rozumiem jakim sposobem

— Ja zato rozumiem doskonale. Powtórzyć ci pięć razy na godzinę, to w sam raz, aby się okazała potrzeba powtórzenia poraz szósty. Takie biedactwo nieporadne Nie wiem jakim sposobem nie gubisz swoich iksów i igreków. Dziwię się, że ich nie znajduję np. pod łóżkiem.

— O nie, to moja posłuszna armja. To tylko te przedmioty codziennego użytku. No, czy masz teraz, najdroższa istoto, obdarzona na szczęście anielską słodyczą, coś do zarzucenia tym wykwintnym paznokciom?

— Tylko tyle, że każdy jest innej długości, a ten, obgryziony. Cóż to za dziecinne nałogi?

— Lekcja geografji, mamusiu.

— Przynieś [illegible] pończochy, kołnierzyk i pilnik. Gdzie jest pilnik?

— Widziałam go na łóżku Janka.

— Temu znów strzeliła elegancja do głowy. Pilnik jest w mojem pudełku do manicure. Gdzie jest moje pudełko? Umiesz już odpowiadać na wyrywki?

— W toalecie.

— Dobrze. Masz przynieść trzy rzeczy. Rozumiesz osobo nie z tego świata?

— Rozumiem.

— — — — — — — — — — —

— Krysiu!

— Zaraz, zaraz!

— Co tam robisz tak długo?

— Szukam pończoch. Ale nigdzie ich niema.

— Bój się Boga. Co tam znowu zwaliłaś?

— To szuflada z toaletki.

— Nie, doprawdy, żebym nie leżała w łóżku, tobym wolała wszystko zrobić sama. Co stłukłaś?

— Twój szklany słoiczek.

— I rozpaciasz wszystko po podłodze. Zaiste opatrzność obdarzyła mnie miłem dziecięciem. Chodź że prędzej, bo nie zdążysz.

— Proszę, mamusiu. Są pończochy.

— A kołnierzyk?

— Zapomniałam.

— Nie, to dziecko doprawdy jest gapiowate. Siadaj i wkładaj pończochy. Ależ to nie te! Te również mają dziurę, na kolanie dla odmiany. Mówiłam — nowe. Szare będziesz kładła do żółtych pantofli?

— Nareszcie. Daj ten kołnierzyk. No, a czem ci przyszyję?

— Ach prawda. A gdzie nici, mamusiu?

— W pudełku od robót. Trzecia szuflada szafy.

— Kiedy tu niema mamusiu.

— Jak mi wszystko chwytacie z pod rąk, trudno żeby coś było. Poszukaj że trochę inteligentniej.

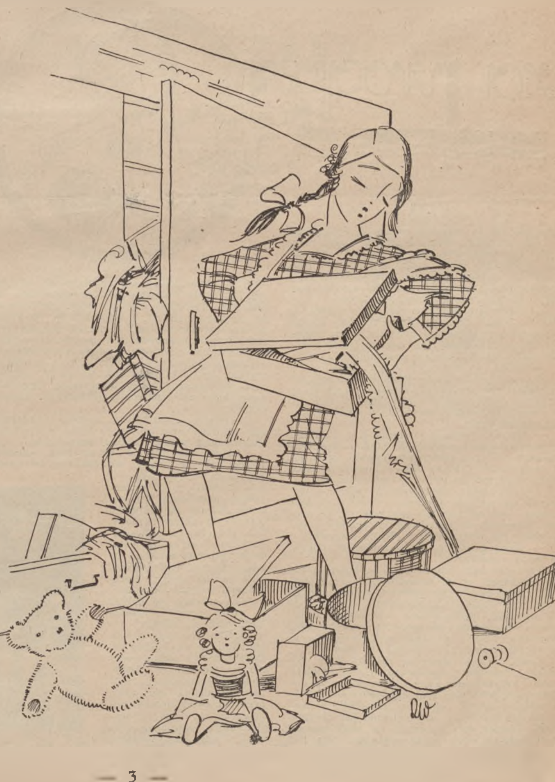
— Już mam.

— No, a igła?

— Ojej. Znów z tą igłą. Może można przypiąć agrafką?

— Nie, to już przechodzi wszelkie pojęcie Zdejmij zaraz mundurek. Ani myślę wypuszczać z domu takiego nieporządziucha.

— Oj, mamusiu ja zmarznę.



— Włóż szlafrok.
— A gdzie on jest?
— Krysiu, ja naprawdę nie jestem w stanie pamiętać o wszystkiem. W twojej szafie.
— Niema, mamusiu!
— Pewno zwinęłaś go w kłębek i wsadziłaś pod materac. Dobrze, że nie do skrzyni z węglem, albo wogóle na dach. Włóż mój.
— Twój jest taki ładny.
— Bo się nie znęcam nad swemi rzeczami. Powyznaczałam miejsca na wszsytko a wy mi codzień wszystko rozrzucacie. Musi być w końcu jakaś metoda w tym chaosie.
— Kiedy to takie nudne...
— A czy wesoło co chwila oddawać się tyranji pogubionych rzeczy? Jesteś najgorszą niewolnicą własnych nocnych pantofli, szczotki do zębów (czy do podłogi — już nie wiem) rękawiczek, torebki. Wszystko ma nad tobą władzę! Całe życie spędzisz na szukaniu i gubieniu. Pewno że to będzie nudne. Trzeba trochę myśleć o tem, co się robi. Jeszcze nie koniec. A mankiety?
— A czy nie można bez?
—Pewno że nie, jak się ma sztukowane rękawy. Nikt z nas nie jest Krezusem. Przynieś mankiety.
— Nie wiem...
— gdzie są. Oczywiście. Leżały razem z kołnierzykiem. A nie poprzewracaj znowu wszystkiego.
— Trach!
— Krysiu! Co znowu?
— Wszystko mi wypadło z tej szafy.
— Zmiłuj się, przecież wczoraj robiłam porządek.
— Tak, ale ja szukałam tych pończach... Niema mankietów.
— Nie, już muszę wstać sama. Toś ty musiała wszystko rozwalić. Pocoś zdjęła to pudło z kapeluszami?
— Samo jakoś spadło.
— Pończoch szukała na szafie! Szkoda że nie w wentylatorze. Nic, teraz to i ja chyba nie znajdę tych mankietów. No, masz, leżą tu na samym wierzchu. I kto to teraz będzie porządkować?
— Ja sama, jak wrócę.
— Nie, ślicznie dziękuję. Już wolę nie czekać na ciebie. Miłą mam rekonwalescencję po grypie.
— Mamusiu, wiesz, jak się boję o twoje zdrowie...
— Tak. W teorji. To wcale nietrudno. Zostaw cały ten stos. Ale drugi raz cię nie puszczę do szafy. Daj no te mankiety. Masz — przyszywaj je do rękawa, a mnie daj kołnierzyk. Wiesz ile czasu to nam zabrało? G o d z i n ę.
— Ojej! Już tak późno!
— Właśnie. A potem znowu będzie tak z lekcjami. Jak sobie tak naładować dzień, nic. Krysiu, trzeba o tem poważnie pomyśleć! Już wiem. Wyznaczę ci małe porcyjki. Od dziś — tak, od dziś wieczora — musisz to odcierpieć — wyznaczam ci uporządkowanie twojej — narazie jednej — szuflady z książkami i kajetami. Masz ją przez trzy dni utrzymywać w idealnym stanie. Wszystko musi być na miejscu. Potem uporządkujesz półkę z bielizną i znowu *wszystko*, rozumiesz wszystko, ma być kładzione na miejsce. Potem wieszaki i suknie. Przez cały miesiąc będę cię kontrolować jak małe, głupie dziecko. Po jakimś czasie, wiem że wcale nie łatwym, *przekonasz się*, że to o wiele zabawniejsze, niż życie w chaosie. Dość już mam tego sprzątania po wszystkich i nie daje to żadnych wyników. Co o tem myślisz?
— Myślę, że to może da się zrobić mamusiu. Mnie samej ciebie nieraz jest żal.
— No, przynajmniej tli w tobie jakaś iskierka zdrowego sensu. To już nie chodzi nawet o mnie, ale o ciebie. Jesteś najnędzniejszem, naj bardziej udręczonem stworzeniem moje biedne bardziej udręczonem stworzeniem, moje biedne dziecko. Daj mi uczciwe słowo rozumnego człowieka, że się nagniesz do tego gorzkiego regime'u. Szkoda naszego życia na takie głupstwa.
— Dobrze, mamusiu. Ty jednak umiesz przekonać... Dowidzenia, „Całuję twoją dłoń"...
— A nie zapomnij szalika...
— i botów!

mb.



H_2O

Zaczęło się to wszystko pewnego wiosennego dnia, na lekcji chemji i Józefka nigdy, przenigdy nie przypuszczała, że zwykły „kawał" jaki zapragnęła nagle zrobić poczciwemu profesorowi pociągnie za sobą tyle przedziwnych konsekwencji. „Kawał" był zresztą zupełnie naiwny i polegał na uprzejmem zapytaniu:
— Panie profesorze, co to jest za wzór — H^2O + SOK. Profesor uśmiechnął się swoim zwyczajem poczciwie od ucha do ucha, pogładził dłonią błyszczącą jak księżyc łysinę i odpowiedział, zrazu zupełnie swobodnie:
— H^2O, no to oczywiście woda, a SOK?
Tu nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia, kąciki ust profesora podniesione zazwyczaj ku górze, opadły nagle w strapieniu, a cała jego okrągła fizjonomja przybrała wyraz najwyższego zażenowania.
— Hm, O — ozon, S — siarka, K — kaltium, ale co do licha tworzy SOK SOK — mruczał profesor, a 25 par oczów wpatrywało się w jego zakłopotanie, 25 par rąk wyłamywało sobie palce ze wzruszenia co też z tego wyniknie.
— Doprawdy, doprawdy nie wiem — tłomaczył się jękliwie profesor. — jutro paniom powiem, — a był przytem tak znękany, że wreszcie Maryńcia, najpoczciwsze stworzenie w całej klasie nie wytrzymała i pisnęła cieniutko:
— Woda z sokiem, panie profesorze, poprostu woda z sokiem!
Tego już było klasie za wiele. Ryknęła takim śmiechem, że aż matematyk, wykładający obok, zaczął gwałtownie pukać w ścianę na znak swego najwyższego niezadowolenia. Nie to jednak uspokoiło rozśmieszone dziewczyny, uspokoiła ich nagła cisza na katedrze, cisza bardziej wymowna, aniżeli wszelkie walenie pięścią w stół i groźne okrzyki — proszę się uspokoić.
Coprawda nikt nigdy nie mógłby sobie wyobrazić profesora S. walącego właśnie pięścią w stół i krzyczącego; był na to za dobry, za delikatny, ale też żadna z uczenic nie widziała tego miłego i zawsze pogodnego człowieka w stanie takiego smutku i przygnębienia jak obecnej chwili. Józefce, gdy spojrzała na niego poprostu ścisnęło się serce. Jakże mogła, na Boga, zapomnieć, że dobry, aż do przesady pobłażliwy profesor, miał jedną, jedyną słabostkę: oto bał się jak ognia śmieszności, a tu cała klasa zaśmiewała się z niego prosto w oczy. Józefka czuła, że jeszcze chwila, a rozpłacze się ze względu na wybitne wyrzuty sumienia, ale oto profesor już się opanował. Jak zwykle, tyle tylko, że bez uśmiechu otworzył notes, rzucił pierwsze z brzegu nazwisko i lekcja poszła zwykłym trybem. Tylko Józefka czuła się bardzo nieswojo i gdy podczas pauzy otoczyły ją koleżanki, komentując całe zdarzenie, oświadczyła kategorycznie:
— Pójdę i przeproszę „starego". Ostatecznie zrobiłam świństwo, bo on nigdy w życiu nie sprawił nam przecież żadnej przykrości.
Najgorszem było to, że na taką eskapadę trzeba było iść samej, samiuteńkiej, bo nawet najbliższa przyjaciółka — Ela, musiała być wykluczona, jako osoba trzecia i nic mająca nic wspólnego z tym aktem skruchy. Ela poczciwa odprowadziła tylko Józefkę do tramwaju (profesor mieszkał na końcu miasta) i pobłogosławiła ją na ciężką drogę, pełnemi zachęty słowami:
— A trzymaj się dobrze i zaraz przyjdź powiedzieć, jak się odbyło.
Józefka trzymała się ostatkami sił wcale dzielnie, dopiero gdy wdrapawszy się po wąskich i niewygodnych schodach, na któreś tam pięterko skrzywionego cokolwiek domku, pociągnęła za rączkę staroświeckiego dzwonka, czuła, że zęby jej szczękają i to wcale nie z zimna. Resztka odwagi opuściła ją gdy służąca poleciła jej czekać w wąskim, ciemnym pokoiku, całym zawalonym książkami, probówkami i zupełnie niezrozumiałemi przyrządami. Książki zresztą też były jakieś grube, poważne, i dziwnych, zagranicznych nazwiskach autorów i jeszcze dziwniejszych tytułach. Zaledwie parę znajomych wyłowiła między niemi, znajomych zza witryn księgarskich, jak Metodyka chemji — Harabaszewskiego lub Michalskiego — Przyrodoznawstwo. Tę ostatnią kiedyś nawet przeglądała, bo nauki przyrodnicze interesowały ją zawsze ogromnie, ale żeby aż tyle książek na ten temat przeczytać, to było coś przedziwnego! Daleko więcej interesowały ją przeróżne probówki, rurki i maszynki, które stały na małym stoliku pod oknem; ach, jak chętnie pomieszałaby trochę tego czerwonego płynu z solą, stoją-



interesowały ją probówki, rurki i maszynki...

cą w małym szklanym słoiku, aby zobaczyć co z tego wyniknie, jak chętnie... W tej chwili właśnie wszedł profesor i Józefka, zamiast wygłosić szumne przemówienie, jakie sobie ułożyła jadąc tramwajem, wybąkała kilka nieskładnych słów. Musiały one jednak mieć dostateczną ciepłotę uczucia i szczerości, bo profesor rozczulił się do łez. Usadowił penitentkę na najwygodniejszym fotelu, poczęstował herbatą i konfiturami (ciastek, poczciwiec na swojem starokawalerskiem gospodarstwie jako żywo nie posiadał) i rozpoczął przedziwną pogawędkę. Zaczęła się ona od wspomnień oxfordskich, mądrość profesora brała bowiem początek z tego właśnie uniwersytetu, a skończyła się na chemji, która jest cudowną królową wszystkich nauk i największą pociechą profesora w jego żywej samotności.

Józefka wyszła ze skrzywionego domku ze wzruszeniem chemicznem w sercu i z książką Michalskiego pod pachą. Była to — Pracownia fizyczna i chemiczna w szkole średniej — którą profesor, poznawszy jej zamiłowanie do „pitraszenia" wsadził w rękę ze słowami:

— Niech Pani to przeczyta, — powiedział serdecznie — znajdzie Pani właśnie to, co Panią interesuje, to znaczy nie suche teorje, ale żywą praktykę, tempo pracy laboratoryjnej, które ,jak sądzę z rozmowy, najwięcej Pani lubi.

Rzeczywiście. Józefka przeczytała książkę jednym tchem, a potem jakże często zachodziła do ciemnego pokoju profesora, aby wyłuskać jakieś tomisko z jego zasobnej bibljoteki, lub na chwilę rozmowy o sprawach ich jedynie obchodzących.

W jednej z takich rozmów ,profesor zagadnął Józefkę o jej plany na przyszłość.

— Bo to, moja panno matura zbliża się do nas wielkiemi susami, trzeba serjo pomyśleć, czy nie zdradzimy chemji, dla jakiegoś rozsądniejszego i dającego chleb, przedmiotu, czy też postaramy się i ją nagiąć do wymagań rzeczywistości.

— Nie chciałabym zdradzić chemji w żadnym razie — odparła Józefka — ale na politechnikę, ani na uniwersytet też nie mam ochoty pójść. Po pierwsze, takie studja są, zdaje mi się, dla mnie trochę za trudne, nie mam cierpliwości, ani zdolności do długich dociekań teoretycznych, a powtóre uniwerek, czy polibuda są bardzo kosztowne i tak długo trwają! A ja, pan profesor wybaczy, nie chcę być uczoną, ani sławną, ani niczem takiem wielkiem, tylko dziewczyną, która ma fach w ręku, i umie sobie z nim dać radę w życiu. Ot, co.

To — ot co — było powiedziane z takim „fasonem", że profesor poskrobał się po łysinie i odparł:

— Niech Pani poczeka, bo w mojej starej głowie coś świta, ale najpierw muszę sprawdzić o ile to się da zrobić.

Sprawdzanie okazało się kwestją paru dni i kiedyś na pauzie profesor wcisnął dziewczynie do ręki karteluszek na którym były nagryzmolone dwa adresy:

Szafarnia p. Golub pow. Rypiński

Dział laboratoryjny Szkoły Mleczarsko-Serowarskiej C. T. O. i K. R.:

Warszawa, ul. Bracka 18. Liceum przemysłowo - techniczne T-wa Szkół Pracy.

Józefka początkowo nie mogła się zdecydować, wybrała jednak wkońcu Warszawę, ze względu na to, że szkoła w Szafarni przedewszystkiem przygotowywała laborantki do zakładów badania żywności, gdy tymczasem szkoła warszawska mogła ją przygotować do pracy w fabryce. Józefka marzyła o posadzie laborantki np. w dużej cukrowni i chętnie wpłaciła swoje 60 zł. za pierwszy miesiąc nauki. Decyzja ta pociągnęła za sobą jeszcze inną ważną decyzję: oto Józefka wyrzekła się matury: ukończyła tylko swoją 6-tą klasę i odrazu zapisała się do szkoły laborantek. Co za rozkosz! Po dwóch latach miała świadectwo i pełna zapału poczęła się martwić o posadę. Martwiła się — stosunkowo dość długo, wkońcu jednak znalazła to, co chciała, a mianowicie posadę w cukrowni za — około 300 zł.! Stoi teraz oto w laboratorjum nad stolikiem pełnym retort flaszek i słoików i odmierza coś do próbówki. Ma przytem jak widzicie, bardzo zadowoloną minę, a w sercu wdzięczność dla profesora i... dla wzoru H^2O + SOK!

Zofja Miszewska

ORGANIZACJE SZKOLNE

STATUT

Dzisiaj będziecie tu czytać rzeczy suche, jak czerstwa bułka; poważne, jak oblicze mędrca i nudne, jak obowiązkowa wizyta. Będę bowiem pisał o statucie samorządowym i jego paragrafach.

Wiadoma rzecz, że wszelkie stowarzyszenie musi posiadać statut, rozpadający się na szereg paragrafów, które stanowią podstawę organizacji. W szkołach, gdzie już istnieje i rozwija się samorząd, statut został już opracowany i poddany próbie życia. Jeżeli ją wytrzymał, to inne szkoły mogą się na nim wzorować, jeżeli nie, to służę Wam kilkoma ogólnemi uwagami, co statut powinien zawierać i jak go należy opracowywać.

Przedewszystkiem trzeba jasno określić cel samorządu. Może on być różny w różnych szkołach, co zależy, oczywiście, od warunków lokalnych. W jednej naprzykład trzeba zwrócić specjalną uwagę na samopomoc naukową, w innych na karność wewnętrzną i t. p. Wszystko to precyzuje krótko i wyraźnie statut, który raz uchwalony, staje się już prawem obowiązującem. Powinniśmy o tem stale pamiętać i zanim co ujmiemy w ramy paragrafu, głęboko zastanowić się nad kwestją.

Pracowałem w szkole, gdzie podpowiadanie wyrodziło się w istną plagę. Jeszcze nie skończyłem pytania, gdy już zrywały się zewsząd ciche słówka, niby rój motyli, i biegły ku uszom pytanej uczennicy, która zresztą często tego nie potrzebowała. Na zebraniu organizacyjnem któryś z nauczycieli zaproponował, żeby jako jeden z celów samorządu postawić wyplenienie podpowiadania.

Konsternacja.

— To niekoleżeńskie, tak nie można!..

Projektodawca obstawał przy swojem. Widząc, że, gdy projekt stanie się prawem, będzie ono często łamane, zaproponowałem, aby narazie kwestję tę pominąć, lub też ubrać ją w formę mniej kategoryczną.

Zrozumiałe, że czyniłem to nie z miłości do podpowiadania, a dlatego, aby przepis stał się rzeczywiście prawem stosowanem w życiu, a nie pobożnem życzeniem, istniejącem tylko na papierze.

Zkolei następują w statucie paragrafy, omawiające władze samorządu. Kwestję te ujmuje się zazwyczaj w ten sposób: Każda klasa wybiera swój odzielny zarząd (zwykle cztery osoby: przewodnicząca, zastępczyni przewodniczącej, skarbniczka i sekretarka). Na czele samorządu całej szkoły stoi przewodnicząca klasy ósmej lub siódmej. Otóż, według mnie, raczej uczennice klasy siódmej powinny poświęcać więcej czasu samorządowi, niż ósmoklasistki.

Nad ósmą klasą wisi egzamin maturalny i wywołuje z ukrycia grzeszki dawnych lat. Przy ogólnym rachunku sumienia i wiedzy uczniowskiej coraz to natrafia się na dawne niedociągnięcia. Gramatyka łacińska prosi o przewertowanie raz jeszcze, stary Rey wzdycha, aby lepiej się zastanowić nad jego złotemi, acz przyciężkiemi, myślami; jakieś postacie dawno zmarłych władców średniowiecza zdają się grozić z za grobu skołatanej maturzystce szkieletami dat — słowem pracy po uszy i na nic niema czasu. Obowiązki zaś przewodniczącej samorządu całej szkoły absorbują i klasa ósma w interesie ogólnym powinna się zrzec zaszczytu przewodniczenia.

Bliżej o obowiązkach członkiń samorządów klasowych i ogólno - szkolnego, oraz o innych przepisach statutu — w następnym numerze.

J. Waśniewski.

NIEFORTUNNA NARCIARKA

Jeszcze za kwadrans dzwonek! Jak to długo!
Słońce się wdziera oknem jasną smugą.
Nie można patrzeć na czarną tablicę,
nie można już śledzić, liczyć.
Tam za oknami jasny, wielki świat!
A dzisiaj śnieg cudowny spadł!..
Dość już mam zadań, dociekań i ćwiczeń —
urządzam sobie bieg na nartach — w życie!..
Ach to nudziarstwo: sinus czy cosinus...

(Jestem już w górach...) zaraz... plus,czy minus?
(Jakie spadziste słoneczne krawędzie!..)
— Ojej, wywołał mnie! Co teraz będzie?
(Ginę w przeczystych błękitnych przestworzach..
Strącił mnie ostry biały szczyt!..)
— Nic nie rozumiem, panie profesorze...
(Oj, jakiż wstyd...).

Jadwiga Korczakowska.

POMOC ZDALEKA

Geografja jest wstrętną, czarną sprawą! Mapa roi się od tajemniczych kółek — miast, gór, których jest tak wiele i dolin o dziwnych nazwach. Marta kuje zamykając oczy. Mały, puszysty ptaszek, nito szczygieł, nito wróbel, ćwierka w klatce na oknie. Za oknem świeci biało zamarznięta Wisła. Matki niema; oczywiście siedzi jeszcze w pracowni. Gdyby nie ćwierkający ptak, byłoby bardzo cicho.

— ...Medjolan, Rzym, Neapol, Werona... —

Okropność. Głowa jest pusta... Nic nie idzie.

Włochy (zadane) wyglądają na mapie, jak potworny but. Jak maleńkie blado-zielone kleksy znaczą się wyspy: Sardynja, Korsyka, Sycylja... To trochę łatwiejsze.



— Padwa... Padwa... — Jeszcze jedno miasto...

Przekręcany klucz, zaskrzypiał w zamku.

— Mama!

Od poczciwych, matczynych oczu robi się w małym pokoju jasno. Marta zrywa się od stołu. Szczękają fajansowe filiżanki. Herbata! Ta herbata, którą pijały zawsze razem z matką była najmilszą chwilą w ich szarych, cichych dniach. Dla matki - pracownicy i córki - pensjonarki był to moment „światowej" pogawędki przy ciepłej, pachnącej parze, coś nieskończenie bliskiego. Całe domowe życie zamykało się w tej chwili, gdy zapijając, mówiły sobie dużo o tym dniu, który upłynął, a w którym się niemal nie widziały.

Marta paplała o życiu szkoły, o korepetycjach, o planach na przyszłość, w których jej zdolności i odwaga życiowa miały grać decydującą, zwycięską rolę. Matka oczywiście miała opływać we wszystko. Są przeciez tylko we dwie najbliższe sobie na świecie, więc ona, Marta, musi być tą, która wszystko zdziała. Jakżeby mama? Mama z temi zmęczonemi łzami oczami, z rękami pokłótemi igłą od codziennej pracy? Mama będzie tym kimś, dla którego się pracuje, tym kimś, kto oczekiwać będzie na Martę z gorącą herbatą, z uśmiechem, z pozdrowieniem. Marta gada. Ciągle o tem, jak to będzie. Matka słucha. Nito szczygieł, nito wróbel ćwierka rozgłośnie. Lampa świeci. To już wieczór.

— Ojej! Dziewiąta!

Marta wraca do map i książek. Wielki Atlas Romera z „butem" włoskim nie wygląda w świetle lampy zachwycająco. Marta jest zmęczona Życie jest jednak ciężkie, gdy poza lekcjami ma się jeszcze parę godzin korepetycyj z nieznośnemi „oślętami". Mogłoby sie jednak coś odmienić! Nieby to nikomu nie szkodziło, żeby matka nie potrzebowała codzień biegać do pracowni a Marta za lekcjami i kuć potem wieczorem z jałową ze zmęczenia głową.

— ...Medjolan, Neapol, Werona, Padwa...

Lampa miga (przepala się znowu! Co za licho!). Trzeba się uczyć. Nie można przecież liczyć na nikogo. Zresztą to nie leży w możliwościach charakteru Marty. Matka. Matka liczy na Martę — i... Tak: matka jeszcze potrafi się modlić. Marcie przychodzi to znacznie trudniej. Jakiś zapas własnych sił każe jej więcej myśleć o tej „najbliższej" pomocy, z własnych rąk, z własnej głowy. „Tamte sprawy" są jednak dalekie. Marcie natomiast wydaje się, że dla matki są one ważniejsze od codziennych trudów. Ważniejsze nawet od czynnej pomocy Marty. One mają siłami dziewczyny kierować. One są większe.

Marcie szumi w głowie ze zmęczenia·

Sardynja.... Korsyka...

Matka pochylona nad stołem czyta coś z małej, czarnej książeczki. Marta dokładnie pamięta jej złocony tytuł: „Bądź wola Twoja".

Zegar bije znowu: dziesiąta. Oczy się kleją. Niesposób „przekopać się" przez geografję Włoch. Obok atlasu leży książka matczyna „O świętym Antonim".

— Znowu jakieś pobożności — myśli Marta z wyraźnem znudzeniem. Bierze do rąk brzydką broszurę. Rzuca okiem na obydny, tani druk Czyta. Jest to napisane najprostszemi słowami, które zrozumiałaby nawet kamieniczna stróżka. Coś o człowieku, który został świętym. Życie jego, życie zwykłe, ciężkie, cięższe od życia Marty, przepaliła nawskroś jakaś wielka siła. Łaska. Łaska boska. A potem działy się cuda. Za życia i po śmierci. Dziwy. Wbrew wszystkiemu. Wbrew prawom przyrody, wbrew prawom codziennego dnia, które wydają się nienaruszalne. Marta czyta. Czyta długo. Matka cichutko odchodzi od stołu. Szura dzbankami za parawanem. Kładzie się. Zegar znowu bije. Marta odkłada książkę. Zabiera się znowu do „włoskiego buta". Jeszcze pół godziny... No — już dość Umie — mniej więcej. Nie zanadto. Ale doprawdy jest potwornie zmęczona. Chlapie się w wodzie i znużona wślizguje się do łóżka Przed zaśnięciem wyciąga rękę po pobożną broszurkę. Czyta jeszcze. O włoskiem mieście Padwie, gdzie po zalanych słońcem ulicach chodził pokorny święty. Wypływa jej przed oczy cała „dekoracja" dziwu. Miasto z całą południową, latyńską wspaniałością, okolica z rozgrzanemi słońcem winnicami. Wiadomości z podręcznika geografji i ta prosta, a przedziwna historja splatają się razem w jedno widowisko. Z malarską plastyką wyrasta przed nią Padwa. Rzym. Neopol, morze. Coś się stało z geografją. Bo przecież *nie umie* jej dobrze. Napewno nie! Gdyby się jutro spytano *musiałaby* zaplątać się porządnie. Aż strach bierze pomyśleć. Nie bez nieufności czyta modlitwę umieszczoną przy końcu książki. „Święty Antoni Padewski".. Naiwne słowa pisane dla tych, którzy wierzą. Marta powtarza je raz i drugi... Raz i drugi... Raz i drugi... Wreszcie zasypia.

Rano jest bardzo zimno. Zaszroniałe okno bieleje w półmroku. Nito wróbel — nito szczygieł obudził się i trzepoce się w wodzie. Marta wychodzi razem z matką. Powietrze jest ostre i przyjemnie rześwe. Do szkoły jest tylko parę minut drogi. Marta wchodzi w klasowy szum. Atlasy leżą na pulpitach. Pierwsza będzie geografja. Marta czuje się mocno niepewnie. Siada obok grubej Ireny.

— W razie czego — podpowiadaj. — Wczoraj byłam taka zmordowana, że mi się wszystko w głowie pokręciło.

Irena kiwa głową. To się samo przez się rozumie. Zło konieczne.

Dzwonek. Profesor wchodzi. Pyta. Jeździ wzrokiem po liście. Martę aż podrzuca. Byle nie ona! Nie dziś! Nie dziś!

Jak strzał pada jej nazwisko. Marta wstaje. Podchodzi do mapy na „maślanych nogach". Cała jej wiedza geograficzna jest dziurawa. Coś tu — coś tam. Wogóle — marnie. Nagle w głowie zaczyna jej szumieć, jak brzęk pszczół prościutka modlitwa „Święty Antoni! Święty Antoni Padewski!".

Pada pytanie:

— Proszę mi coś powiedzieć o Padwie.

Marcie wypływa nagle przed oczy rozsłonecznione miasto.

Wie! — Akurat to! Tylko to! Mówi dużo. Wyrzuca z siebie wiadomości — i to wszystko, co widziała przed zaśnięciem. Mówi o gmachach, murach, ulicach przedziwnej piękności. Profesor słucha. Wreszcie mówi spokojnym głosem:

— Dziękuję.

Marta wraca na miejsce. Serce wali jej głośno. Jakto?! Dobrze?! Bardzo dobrze?! Jak to się stało? Udało się. Jak? Jak?

Marta nie może opędzić myśli, że jej błahą sprawę pokierował ktoś z daleka. Ktoś zza gwiazd. Pokierował w dziwny, cudowny sposób. Czyżby gdzieś usłyszano jej prośbę w maleńkiej, codziennej sprawie? Cud? Ach nie! Wysłuchanie. Czyż wysłuchanie nie jest cudem

Oczy Marty błyszczą. Dzwonek. Pauza. Marta biega z koleżankami po podwórku. Śnieg jest biały i chrupie pod nogami. Niebo, bardzo błękitne wydaje się blisko rozpięte nad ziemią, jak anielskie skrzydła.

Halina Jodłowska.



GRANICE



..stanęliśmy na żelaznym moście w mieście Cieszynie.

Na mapie wyglądają jak czarne pokręcone linje, wyraźnie oddzielają kreską obszary dwóch państw. Łatwo można wodzić po nich palcem i mówić: — Tu się kończy Polska, tu się zaczynają Niemcy...

Ale w istocie nie jest to tak łatwe i zrozumiałe. Po obu stronach tej linji, którą wykreślono na mapie podczas pokojowego traktatu, leży ziemia — ta sama tu i tam. Wetknięto w nią wedle umowy kolorowe słupy graniczne i postawiono z dwóch stron posterunki.



Jeżeli przebędziesz promem graniczną linję rzeki — możesz napić się rumuńskiego wina i zjeść rumuńskich moreli.

Wpoprzek szosy tkwi drąg szlabanu, pomalowany w barwne pasy, a i podnosi się tylko wtedy, gdy ktoś opatrzony w przepustkę lub paszport z pieczęcią zapuka do nadgranicznego domku. Trudno w tak ogromnem przybliżeniu pojąć tę wielką różnicę, która każe strażnikowi z budki, odległej zaledwie o kilkadziesiąt kroków. nazywać niebo, wodę i chleb innym imieniem i robi cudzoziemca z małego pastucha, pilnującego krów po drugiej stronie rowu. O krok przed nami leży ta sama ziemia i krzątają się podobni ludzie, ale wszystko ujęte jest w formę innych zwyczajów, słów i praw.

Wyszliśmy z pośród pachnących lasków i drewnianych chałup puszczańskich wsi kurpiowskich, a tam już o krok za wpółspróchniałym, białoczerwonym drągiem — rozciąga się ziemia wykarczowana i inaczej uprawna, gęsto zabudowana murowanemi domostwami o czerwonych dachach. To Prusy Wschodnie.

Stanęliśmy na żelaznym moście w mieście Cieszynie, a tu już auta muszą zjeżdżać z prawej strony na lewą i jeździć po lewej stronie szosy, bo to już Czechy. I pompy benzynowe są żółtoniebieskie, a nie czerwone, jak u nas. I odrazu za granicą stoją murowane inne domki i czeskie napisy.

Wiele państw ościennych otacza swemi granicami obszar naszego kraju. Coraz inna mowa brzmi za linją białoczerwonych słupów i coraz inne panują prawa.

Czasami rzeka swem głębokiem korytem rozcina dwa państwa i wtedy podział nie wydaje się tak sztuczny i dziwny, zaczynamy się ludzić, że naprawdę ludzie z tamtego brzegu są inni i chodzą po innym gruncie.

To jest naprzykład Niemen — niebieski, szeroki. Po jednej stronie gwarne letnisko — Druskieniki, po drugiej obca Litwa. Może po tamtej stronie wszystko jest litewskie, nawet niebo, i kwiaty, i zwierzęta?

A tutaj spokojna, gładka Dźwina toczy swą zieloną wodę między Polską a Łotwą. Łodzie z lnem przebywają nieśpiesznie tę Dźwinę. Po polskiej stronie wznoszą się wieże starych kościołów w miasteczku Druja, a po tamtej stronie jest miasteczko Przydrujsk, gdzie urzędy i szkoły są łotewskie.

A gdzieindziej, głębokim, zarośniętym wąwozem płynie Zbrucz, a po lewym brzegu jego pracują i żyją obywatele sowieckiej Ukrainy za linją czerwonozielonych słupów granicznych.

Tu zaś rozszalały burzliwy i skręcony, jak wąż, dzwoni po kamieniach Dniestr, a po jego prawym brzegu chodzą ruscy chłopi w wyszywanych koszulach, którzy niczem się nie różnią od chłopów z tej strony i chodzą śniadzi ludzie w zielonawych mundurach — Rumuni. Jeżeli wydostawszy przepustkę, przebędziesz promem graniczną linję rzeki, możesz napić się dosyta rumuńksiego wina i zjeść rumuńskich moreli, wysłać do Polski kartę pocztową z twarzą rumuńskiego króla na znaczku pocztowym.



...a dalej biegnie granica czeska po zębatych krawędziach i przełęczach gór.

Taksamo niespokojny i wartki Czeremosz, górska rzeka, waląca na łeb na szyję z wysokich Karpat, oddziela Polskę od Rumunji w miasteczku Kuty.

A dalej biegnie już granica czeska wysoko po zębatych krawędziach i przełęczach gór. Po drugiej stronie tych gór w dolinach zasnutych przez mgły płowoniebieskie panowały niegdyś Węgry, potem przez długie lata nie było tu granicy dwóch państw, tylko dwóch prowincyj austro-węgierskiej monarchji.

A teraz jest znowu inaczej... Wysokie szczyty dzielą ziemię naprawdę, jak trudna do przebycia ściana, tworzą granicę naturalną, między południowemi i północnemi szczepami. Ale mimo to i tu coraz innym szlakiem przeprowadzają politycy znaki graniczne po dolinach i krawędziach, targują się o wsie i góry, o Orawę i Spisz, odwołują się do głosowania, do plebiscytu mieszkańców spornej granicznej ziemi.

Bo nic nie jest bardziej zmienne i zależne od woli ludzkiej, jak granice. Dwadzieścia lat temu krajały one Polskę wpoprzek ziem, stanowiących niepodzielną całość, przebiegały pod Krakowem i niedaleko Torunia wpychały się między Krzemieniec a Brody, między Kalisz i Ostrów, hulały po Polsce razem z prawami i językiem obcych, wrogich państw. Ale w tym czasie żaden szlaban graniczny nie przecinał drogi między Poznaniem a pruską fortecą — Kistrzyń, między Krakowem a Cieszynem, Brnem Morawskiem, prościutką drogą można było jechać bez końca od Równego na wschód, na Zwiahel i Kijów. A teraz zaraz za Korcem wyrosła nieprzebytu granica. Żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza strażuje na wieżyczce posterunku, zdaleka widać czerwoną chorągiew na dachu sowieckiego Kolchozu i wpoprzek szosy między drągami nigdy nie podnoszonych, zabitych na głucho szlabanów rośnie gąszcz traw i zielsk, wysoka po pas bujna zielona gęstwina.

A potem o kierunek i wykres tych granic walczono i mordowano się na ziemi polskiej wzdłuż i wszerz. Linje graniczne przewalały się wtył i naprzód wraz z zastępami armji, armatami i furgonami szły aż do Dźwiny, do Kijowa, nawracały do Warszawy, skręcały się i krwawiły, jak umęczony ranny człowiek.

Na mapach szeleściły sztywne chorągiewki na szpilkach: niemieckie, rosyjskie, austrjackie, wpinane co dnia w miarę posuwania się lub cofania frontów. Długo nie było pośród nich chorągiewek o barwach polskiego państwa.

A potem pojawiły się i one, by zakreślić łuk granic odrodzonego państwa. Zabici żołnierze spoczęli w wojennych grobach na linjach dawnych walk, żywi żołnierze stanęli z bronią w ręku na straży nowych granic.

Wiemy już odtąd dokładnie, gdzie się kończy i gdzie się zaczyna nasze państwo.

Jeżeli wracamy z zagranicy koleją, witają nas w Boguminie czy Zbąszyniu polskie herby i polscy urzędnicy, zamiast znienawidzonych postaci rosyjskich żandarmów w dawnej komorze celnej — Szczakowej lub Aleksandrowa. Jeżeli docieramy do niej nie na linjach kolei i nawet nie na głównych arterjach komunikacji, konnej, czy automobilowej, możemy dokładnie zrozumieć znaczenie tej niewidzialnej pozornie, pionowej zapory, wyrastającej w powietrze między dwoma państwami, z ziemi granicznej, z pachnącej ziemi.

Granica: symbol i widomy znak posiadania odrodzonej państwowości. Trudne sprawy komunikacji i handlu, wywozu i przywozu, wiz i ceł... Ileż politycznych i ekonomicznych zagadnień kojarzy się z tem pojęciem.

Kiedy słyszymy słowo „granica", myślimy o tej czarnej kresce na mapie, po której wodzi się palcem podczas lekcji geografji.

Albo o tym małym kawałku granicznej linji, który przypadkowo sami znamy: rzeka, albo tylko słupy w kolorowe pasy — i niedaleko w płynnem, przezroczem powietrzu dachy domów Niemiec, Czech, Rumunji, Rosji, Litwy...

I to jedno żarliwe pragnienie, które nas opanowuje zawsze, gdy tak stoimy na polskim brzegu Niemna, Wisły, Dniestra lub Dunajca. Pragnienie, żeby ci ludzie z drugiego brzegu, z innego państwa, to nie byli wrogowie, ale dobrzy sąsiedzi, wyciągający ku nam ręce z życzliwym gestem przyjaźni.

Hanna Mortkowiczówna.

GASTON CH. RICHARD



CZAR SKRZYDEŁ

TŁUM. STEFANJA [illegible]

(Dalszy ciąg)

Wszyscy z jej rodu, wszystkie te kobiety, pełne urody i wdzięku, otaczały ją niewidzialnym kołem. Myślała o tem co było, o tych którzy niegdyś lub niedawno jeszcze dawali szczęście, majątek, sławę swoim rodzinom. Ciężkie przejścia, przez które przechodzili w życiu, często wytrącały ich z równowagi i niszczyły ich serca i majątki. Zawsze jednak szanowali szlachetne godło, które król nadał Rycerzowi Morza:

„W niebiosa skrzydłem zawsze ulatuj"...

Hughes de Colombel, za czasów edyktu nantejskiego, ośmielił się protestować przed parlamentem bretońskim przeciwko wypędzeniu hugonotów. Za prokonsulatu okrutnego krwiożerczego Carrier'a. Judyta du Colombel, wówczas osiemdziesięcioletnia staruszka, wzywała otaczających ją mężczyzn do uszanowania kobiety i poddania się prawom boskim, a wnuk jej Jan Ludwik, kapitan okrętu, za czasów pierwszego cesarstwa, nie obawiał się powiedzieć gorzkiej prawdy Cesarzowi, przed którym wszyscy królowie skłaniali kornie głowy...

Jaki będzie jej los?

Od sześciu tygodni Durand-Gardel nie dał znaku życia. Czyżby zapomniał już o przysłudze, którą mu wyświadczyła, ratując plany „Kormorana"? Lemonnier, prokurent wielkiego konstruktora i dyrektor nantejskiej filji fabryk w Moulineaux, przychodził dwa razy dowiadywać się o zdrowie Jakni, nic nie wspominał o obietnicach, danych przez szefa.

Mimowoli, do duszy Janki zaczęła się sączyć gorycz.

Urlop jej właśnie kończył się tego samego dnia: jutro powinna wrócić do fabryki, rozpocząć swą absorbującą i niewdzięczną pracę, pisać listy, tłumaczyć odpowiedzi, przez siedem godzin pisać na maszynie.

Los jej nie było godny zazdrości, perspektywy, które się przed nią otwierały, o tej godzinie zmierzchu wydawały jej się szare, i ciężko jej było na duszy, jak to się często zdarza osobom wrażliwym. Jeżeli Durand-Gardel, zgodnie ze swemi przekonaniami, nie pozwoli jej zostać jedną z pogromczyń przestworzy, będzie zmuszona przez całe życie zostać skromną urzędniczką — wprawdzie szanowaną i mniej więcej pewną jutra — ale na podrzędnem stanowisku.

Więc jej szlachetny zapał i wszystkie skarby umysłu i serce, cała energja jej młodości, rwącej się do życia — wszystko to będzie się zużywało na uderzanie w metalowe klawisze? Więc wszystko co w niej dźwięczało tonem tak poważnym i czystym, wielkie plany, silna wola dojścia do czegoś — będzie musiało zostać porzucone i, powoli dać się przygnieść popiołem godzin i lat?

Czy będzie umiała wyrzec się swoich ambicyj, nadziei, marzeń, tej, rosnącej w niej wciąż, olbrzymiej chęci, ażeby dorzucić swoją cegiełkę do sławy, odwagi i wielkości Bel bu Colombel'ów, budowanej od wieków?.. Będzie musiała zrezygnować z projektu przywrócenia temu nazwisku dawnej świetności i majątku?..

Strach chwycił ją za gardło.

Janka kryjąc twarz w wychudłych dłoniach, gorzko zapłakała. Nagle przeniknął ją jakiś dreszcz. Zdawało jej się, że wszyscy ci, którzy pod egidą pięknego nazwiska Bel du Colombel, dumnie przeszli przez życie, teraz przekazywali jej swą siłę, swą energję, nowe nadzieje.

Podniosła twarz, zalaną łzami. Odezwał się w niej jakiś głos przodków, który zagłuszał zniechęcenie i wątpliwości.

— Pomagaj sobie sama i ufaj — mówił głos. — Wtedy niebo ci dopomoże. Czy myślisz, że my, twoi poprzednicy, nie przeżywaliśmy nigdy chwil upadku ducha? My również doznawaliśmy uczuć zniechęcenia, smutku, znosiliśmy cierpienie, niesprawiedliwość ludzką... Byliśmy, tak samo jak ty, biednemi istotami wydanemi na pastwę namiętności i słabości właściwych ludziom. Ale nie ustąpiliśmy, nie daliśmy się. Ufaliśmy Opatrzności, ale tu walczyliśmy sami, aż do zupełnego wyczerpania. Szanowaliśmy zasadę, która głosi, że niema godnego życia bez ideału. Masz duszę prostą, czystą, silną. Masz silną wolę. Wiesz, że życie jest bezustanną walką. Idź dalej po tej linji, którą sobie nakreśliłaś. Pomóż twemu szczęściu. Walcz o nie uczciwie i mężnie! Dla serc walecznych niema niemożliwości!

Janka, drżąca i zlodowaciała nasłuchiwała w ciszy swego głosu swej duszy... Podniosła się i zwróciła oczy w stronę krzyża, który zarysowywał się na niebie, przybierającem odcień coraz bardziej ołowiany. I nagle, zadrżała i światło padło na krzyż, który rozbłysnął: i ten symbol wiary mienił się złotem długo jeszcze, choć noc już prawie zapadała. Widocznie reflektor, zapalony na pokładzie jakiegoś statku na morzu, wydobył na chwilę krzyż z mroków nocy.

I aczkolwiek nie było w tem żadnego cudu, Janka przyjęła ten fakt jako znak z góry, jako zachętę do wytrwania na swej drodze. Złożywszy ręce i przechyliwszy głowę, szeptała:

— Pomogę sobie, Panie, i Ty mi dopomóż.



Obudził ją z zadumy zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

— Babcia! — pomyślała. — Byleby tylko nie spostrzegła, że płakałam.

Otarła twarz i oczy i „ułożyła" twarz w uśmiech, ażeby wyglądać wesoło i mieć wyraz trochę zdziwiony, osoby rzekomo zbudzonej ze snu.

Różowo - złote światło nagle zalało pokój. Babcia, wchodząc, przekręciła kontakt.

Janka, unosząc się trochę z szezlongu, spojrzała na nią, mrugając powiekami.

— Jakto — odezwała się staruszka — leżałaś tu sama, pociemku, moja ptaszyno kochana? Dlaczego to?

— Bo, widzisz babciu, zasnęłam — odrzekła Janka, wstając, ażeby uściskać babkę.

Nazajutrz, młoda dziewczyna, jeszcze trochę blada, przestępowała próg fabryki. Odpowiedziała uprzejmie na powitanie portjera i jego żony i weszła do biura. Tam, z westchnieniem, przywdziała swój płaszcz z granatowej satynki.

Zgodnie ze swem przyzwyczajeniem, przyszła o kilka minut wcześniej niż należało, ażeby być gotową do pracy, w chwili, kiedy nadejdzie jej szef.

Rozejrzała się ze smutkiem wokoło, spoglądając na otaczające ją przedmioty — na zegar z bronzu, stojący pod kloszem, na kominku, na jasno tapetowane ściany, na metalowe szafki z przegródkami, na plany i wykresy, trochę zakurzone, wiszące na ścianie... Podczas jej nieobecności przybył jeszcze jeden komplet — plany i rysunki „Kormorana".

Wisiał tam wizerunek pięknego samolotu; biało - szary na błękitnem tle nieba. Młoda dziewczyna zbliżyła się, ażeby mu się lepiej przyjrzeć. Ze ściśniętem sercem podziwiała wytworną linję skrzydeł, raczej krótkich, wydłużających się przy końcach, nakształt skrzydeł orlich. Kadłub i osadzenie ogona wszystko nadawało mu wygląd olbrzymiego ptaka, który rozpostarł skrzydła, ażeby wzbić się w powietrze.

Janka pomyślała, wzdychając:

— Cokolwiek będzie ja „go" uratowałam.

W tej chwili usłyszała za sobą radosny i serdeczny okrzyk:

— Panna Janka! To wspaniała niespodzianka, ale przyznaję, że nie liczyłem na to.

Odwróciła się i uśmiechnęła do Lemonnier'a który zbliżał się z wyciągniętemi rękami.

— Dzień dobry panu — powiedziała, ściskając dłoń inżyniera.

— Nie przypuszczałam, że zobaczę tu panią wcześniej niż za jakieś dwa tygodnie — podjął Lemonnier. — Ale... pani jest w uniformie do pracy — dodał z tak komicznem zdziwieniem, że nie mogła się nie uśmiechnąć.

— Tak — odpowiedziała prawie wesoło. — Zmęczyłam się próżnowaniem, a oddawanie się marzeniom nie jest najlepsze z tych rzeczy, które lubię. To sprzyja gnuśności i zniechęceniu. Ponadto, naprawdę wstyd mi brać pieniądze za wylegiwanie się na kanapie: w ten sposób zdaje mi się, że dostaję nie pensję, lecz jałmużnę.

— Co też przychodzi pani do głowy! — zaprotestował Lemonnier. — Jałmużnę, pani, która za cenę swego życia uratowała plany „Kormorana"! Rozumiem, pod wpływem jakich uczuć pani mówi — rzekł, czując na sobie jasne i stanowcze spojrzenie młodej dziewczyny. — Temniemniej, mogła pani śmiało odpocząć jeszcze ze dwa tygodnie, moja mała Janeczko. Bo wygląda pani nietęgo, czy pani wie o tem?... Jest pani bledziutka, spojrzenie ma pani smutne i jeszcze trochę gorączkowe... i przykro mi widzieć panią w tym stanie! Mam ochotę odesłać panią do domu i zabronić jej pokazywać się tutaj, przed upływem dwóch tygodni.

— Niech pan tego nie czyni — odrzekła Janka. — Zapewniam pana, że wolę zacząć pracować. Przebywanie w naszem mieszkaniu na ulicy de la Boucherie, nie jest tak zachwycające, ażebym chciała je przedłużać! Pozatem, gdy jestem w domu, moja babka uważa, że powinna wykonywać dla mnie liczne drobne czynności ażeby mi oszczędzić kłopotu i fatygi, a to dla niej zbyt wielki ciężar. Wreszcie, powtarzam panu, że pozostając w domu, oddaję się marzeniom i nadziejom, które, po zastanowieniu się, wydają mi się tem, czem są — niemożliwością. Widzi pan więc, że wyświadczy mi wielką łaskę, pozwalając mi od dzisiaj wrócić do zwykłej pracy — zakończyła ze smutkiem.

Zapanowało milczenie, przerwane gwałtownie przez ryk syreny fabrycznej, która wzywała spóźniających się, zapowiadając, że za pięć minut wrota zostaną zamknięte.

— Wobec tego — odezwał się poczciwy Lemonnier, z westchnieniem — niech pani robi tak jak uważa za stosowne, moja mała Janeczko. Róża, która panią zastępowała, a która, mimo wielkich pretensyj, nie może się z panią mierzyć, zostawiła niejedną rzecz w nieładzie. Niech pani zechce to przejrzeć — dodał wskazując górę papierów, rozrzuconych po stole. — Na razie, zanim pani tego nie uporządkuje, zatrzymam Różę. I niech pani nie czuje się w obowiązku pracować za dużo.

— Dobrze, proszę pana.

Znowu zapanowało milczenie. Każde z nich paliło chęcią zadania drugiemu pytania i nie śmiało tego uczynić. Wreszcie Lemonnier zdecydował się.

— Ach, prawda — rzekł — czy miała pani wiadomości od szefa?

— Nie — szepnęła Janka.

— Co? Żadnego listu?

— Ani słówka.

— To niepojęte! - mruknął Lemonnier. - A jednak nasz stary Durand-Gardel nie jest niewdzięcznikiem ani głupcem. Nic, od czasu waszej rozmowy w klinice, to istotnie nic dosyć...

Janka uniosła lekko brwi i westchnęła.

— A jednak tak jest — odrzekła.

— Jednakże... — mruczał inżynier. — Uratowała mu pani fabrykę, oszczędziła tysiące na nowe poszukiwania i prace... Wiem, że miał zamiar dać pani poważną gratyfikację.

Janka wyprostowała się, krew uderzyła jej do głowy.

— Pieniądze! — zawołała. — Nie! Nie!.. Tego bym nie przyjęła, panie Lemonnier.

— Jednakże...

— O, nie — rzekła — nie! U nas nie ryzykuje się życia dla pieniędzy. Pan Durand-Gardel obiecał umożliwić mi zrealizowanie mego największego marzenia. Może zaczął się namyślać, a po namyśle cofnął się przed odpowiedzialnością, którą wziąłby na siebie.

— Czy pani chce, ażebym wspomniał o tem kilka słów, gdy mnie teraz wezwie do telefonu?

Janka spuściła głowę i milczała... Cienką chusteczką otarła sobie skronie.

— Więc? — nalegał inżynier.

— Nie — odrzekła wreszcie. — Nie chcę, ażeby to wyglądało, że przypominam mu o jego przyrzeczeniu.

— Ależ to przecież nic złego...

— Nie, oczywiście, ale nie chcę, ażeby sądził, że dopominam się o zapłatę za swój czyn.

— Dobrze! W gruncie rzeczy, pani ma słuszność. Ale dosyć o tem. Właśnie nadchodzi Róża. Ta dziewczyna wszystko słyszy i widzi, a język ma też nie od parady. Gdybyśmy o tem wszystkiem mówili przy niej, jutro dowiedziałoby się o tem całe Nantes. Niech pani weźmie kilka teczek i przyjdzie do mnie. Popracujemy trochę razem.

Janka usłuchała i weszła za swym szefem do jego gabinetu.

Kiedy, po upływie pół godziny, wróciła do swego pokoju, ujrzała siedzącą na swojem miejscu wysoką blondynkę, o wygolonych brwiach, wyróżowanych policzkach i jaskrawo czerwonych ustach, która z wielką uwagą czyściła sobie paznogcie polissoir'em.

— Patrzcie, to pani już wróciła, panno Janino? Nie spodziewaliśmy się zobaczyć pani tak prędko?

— Dzieńdobry, panno Różo! — odrzekła Janka, kładąc na biurku teczki, któremi była obciążona. — Tak, wróciłam do fabryki i niech mi pani wierzy, że nie jestem zmartwiona z tego powodu.

— Też coś! — zawołała Róża, śmiejąc się w sposób efektowany. — O sobie nie mogłabym nigdy tego powiedzieć. Cóż tu jest przyjemnego w tej budzie! Wiecznie klepać na maszynie, pisać okólniki i sprawozdania — to wszystko jest śmiertelnie nudne.

A wobec tego, że Janka nic odpowiadała, dodała jeszcze:

— Pani chce, ażebym zwróciła jej miejsce? Zrobię to bez żalu, zapewniam panią. Wolę już pracować razem z towarzyszkami, niż tutaj siedzieć sama jedna. Tam, można przynajmniej trochę pogadać... A tutaj z papą Lemonnier, trzeba mieć nos spuszczony na kwintę i milczeć. Pani musi posiadać, swoją drogą, jakieś szczególne usposobienie, że może przeciwstawić się nudzie, wiejącej tu z każdego kąta.

Poprostu nie mam czasu się nudzić — odrzekła Janka. — Ażeby utrzymać to wszystko w porządku, trzeba sobie przysiedzieć fałdów... Toteż, panno Różo... jeżeli mi wolno panią prosić...

— ...Ażebym się wyniosła? — spytała wysoka dziewczyna. — W tej chwili! I to z przyjemnością. Tylko opróżnię szufladę.

(d. c. n.).

ZOSIA I DŻOKI



— Śnieg! Pomkniemy w białe kraje — na tereny, w świat — tramwajem.

Pan konduktor nie na żarty Sroży się na psa i narty.

Nie wpuścili, — ani słowa... ...lecz od czego Zosi głowa.

— Brawo Dżoki! Dam ci ciastko, że tak jedziesz za 14-ką!

BĄDŹ ZDROWĄ I ŁADNĄ

„I znów nie jadłaś dzisiaj śniadania!" — Jakże często słyszy się tę uwagę w domu, gdzie są dziewczęta w wieku szkolnym. Rano nie jadają śniadania, przy obiedzie unikają pewnych dań. Dlaczego? Bo: rano trzeba się spieszyć i trudno przełknąć cokolwiek w nerwowem napięciu, gdy myśli się o tem, żeby się nie spóźnić, lub o ewentualnych przykrościach z powodu nieodrobionej lekcji i t. p. „udrękach". Niezawsze jednak wysunięta jest ta przyczyna. Znam dziewczynki, które ze zdumiewającą surowością ograniczają spożywane pokarmy w obawie utycia. Nie wiem dlaczego, gdyż są zdrowe i nie mają żadnych skłonności do gromadzenia nadmiernych zapasów tłuszczu. Błąd polega na nieuświadomieniu. Jakie przyczyny powodują otyłość? Albo nadmierne jedzenie i brak ruchu (przekarmienie i lenistwo), albo też jakieś wyraźne sprawy chorobowe. Coraz częściej jednak słyszy się głosy, że otyłość zawsze jest wyrazem zmian chorobowych w organizmie, pozostających w związku z nienormalnem funkcjonowaniem t. zw. gruczołów dokrewnych. Osoby młode, ruchliwe i dobrze się czujące nie mają więc żadnych powodów do obaw.

Jaka powinna być normalna waga?

Istnieją różne sposoby obliczania wagi, przyczem trzeba zawsze brać pod uwagę płeć, wiek osobnika, i jego wzrost. Popularny jest szemat Broca, według którego normalna waga ciała powinna odpowiadać w kilogramach wysokości danego osobnika (w centymetrach) mniej 100. Np. waga osoby, której wzrost = 157 cm. powinna wynosić 57 kg. Oczywiście, że mogą tu istnieć pewne odchylenia, będące jeszcze w granicach normy. Gdy waga danego osobnika dochodzi do naddatku 25 proc. wagi normalnej, wtedy mówimy o otyłości względnej, o nadmiernej zaś, gdy przekracza 25 proc. wagi normalnej.

Ustrój młody rośnie, rozbudowuje się. Tak, jak do budowy domu potrzebny jest budulec w odpowiedniej ilości, tak samo rosnącemu ustrojowi potrzebny jest materjał, który odpowiedni przerabiany, zostaje zużyty do wzrostu.

Do 25 roku życia spożywany pokarm zostaje zużywany częściowo na rozbudowę, częściowo zaś pokrywa wydatkowaną przez nas energję. Widzimy więc, że młodzi ludzie muszą spożywać większe racje pokarmowe, aniżeli dorośli. Niedostateczny dowóz pokarmów może odbić się dotkliwie na młodym ustroju, powodując zahamowanie wzrostu i ogólne wycieńczenie. Przeprowadzanie zatem głodowych kuracyj jest niewskazane, gdyż zamiast pomagać — szkodzą. Dobry apetyt młodzieży jest zjawiskiem bardzo pożądanem. Regulują zaś zapotrzebowanie organizmu, uczucia takie, jak głód lub sytość. Niepożądanym natomiast objawem jest brak apetytu. Należy z nim walczyć, starając się rozłożyć możliwie wygodnie wszelkie zajęcia, tak, aby na posiłek była dostateczna ilość czasu i odpowiedni spokój ducha. Zasada „grunt się nie przejmować i dobrze się odżywiać", brzmiąca w uszach naszych nieco może trywialnie, powinna mieć pewne zastosowanie, szczególnie u osób nerwowych i wrażliwych, które łatwo tracą równowagę duchową pod wpływem błahych nieraz przyczyn. Nie mówię tu o uporczywym braku apetytu, z którym wiąże się zły ogólnie stan zdrowia. Takie sprawy muszą być poważnie leczone.



Dobrze coś zjeść, jak jest okazja...

Objektywna regulacja spożywanego pokarmu opiera się na zapotrzebowaniu energetycznem ustroju. W zależności od powierzchni ciała, wieku, płci i rodzaju pracy, człowiek potrzebuje odpowiedniej ilości kaloryj (jednostki, któremi się mierzy energję). Człowiek młody, rosnący i ruchliwy, zużywa znacznie więcej energji, niż człowiek stary. Średnio człowiek normalny, pracujący niezbyt ciężko fizycznie, potrzebuje na dobę około 3000 kaloryj, człowiek zaś wykonywujący duże wysiłki fizyczne (np. tragarz, drwal, sportowiec) — około 6000 — 8000 kaloryj na dobę. Pożywienie nasze składa się z węglowodanów, białek i tłuszczów. Wartość kaloryczna 1 gr. węglowodanów — około 4 kaloryj, 1 gr. białka — ok. 4 kaloryj, i 1 gr. tłuszczu = około 9 kaloryj. Niezależnie od tych składników, pożywienie musi zawierać czynniki dopełniające t. zw. witaminy, oraz sole mineralne. Szczególnie obecność białek i witamin w diecie młodych osób jest niezbędna.

Hanna Nowosielska.

10 DNI W ŚWIECIE

CIEKAWE WYKOPALISKA.

Uczony amerykański James Ford, prowadząc poszukiwania naukowe w półn. Alasce, natrafił na szereg przedmiotów, jakich używali mieszkańcy Alaski w czasach przedhistorycznych. Do najciekawszych okazów należą bezwątpienia rzeźbione okulary z kości słoniowej. Okulary te zamiast szkieł, posiadują cienką płytkę z kości słoniowej, w środku której znajduje się wąski otwór dla patrzącego. Przypuszczać należy, że mieszkańcy północni używali tych okularów, celem chronienia oczu przed blaskiem śniegu.

CHAMPIONKA KRZYŻÓWEK.

Międzynarodową sławą cieszy się młodziutka węgierka, Clari Balogh, dźwigająca z dumą tytuł mistrzyni świata w rozwiązywaniu krzyżówek. W ciągu siedmiu lat rozwiązała ich z górą 9000! A jaka ładna jest przytem, prawda.

Oprócz tego zamieściła w pismach 1000 zagadek własnego pomysłu.

Oczywiście, wysiłki jej uwieńczone zostały cennemi nagrodami, które otrzymała z najrozmaitszych krai. Z pomiędzy 1000 zgórą nagród najbardziej ceni sobie śliczny weekend'owy domek, do którego dojeżdża własnem, wygranem autem i, gdzie hoduje młodego, oswojonego lwa, zdobytego również jako nagrodę.

m.



Dzielna i ładna championka krzyżówek.

SPORT

PRZYGODA NARCIARSKA

Czy to było wczoraj? Stałam przed małem górskim schroniskiem zagubiona w barwnym tłumie narciarzy i miałam jak wszyscy wokół mnie dwie długie deski, litościwą ręką przed chwilą uczepione do nóg. Bałam się poruszyć; za najlżejszym obrotem narta uderzała o nartę, wydając suchy ostrzegawczy dźwięk. Każdy krok groził wypadkiem a co za tem idzie, ośmieszeniem się w oczach mych towarzyszy. Tak sobie przynajmniej wykombinowałam w mojej głupiutkiej „ceperskiej" głowie.

W pewnej chwili wetknięto mi w ręce (znowu jakaś „litościwa osoba") dwa kijki i przestano się już wogóle mną zajmować. Z rozpaczą patrzyłam jak jeden po drugim towarzyszu moi zjeżdżali w dół, jak przez mgnienie oka wyrastała między mną i nimi ogromna biała przestrzeń przecięta tylko błękitną tasiemką śladu ich nart.

Chciałam biec, dogonić ich, nie być tak bardzo sama i taka śmieszna tu na szczycie zbocza, gdy oni jak ptaki śmigali już tam w dole. Patrzyłam na to zazdrośnie lecz wciąż jeszcze nie śmiałam się poruszyć czując nieznośny ciężar na nogach.

I doprawdy nie wiem jak to się stało, że nagle zaczęłam się posuwać, ślizgać zdradziecko coraz prędzej i prędzej po stromem zboczu, że w uszach przenikliwie zagwizdał wiatr a oczy napełniły się łzami.

— To jest szus! — przemknęło mi do świadomości nagłe olśnienie. — Tak to jest to, co oni nazywają „szusem".

Stuliłam się, nachyliłam nisko, instynktem odnajdując właściwą pozycję i leciałam tak w dół, nie myśląc gdzie, i jak się zatrzymam.

Finał tego mojego pierwszego zjazdu nie dał zresztą na siebie czekać. Straciwszy nagle, i tak nadspodziewanie długo utrzymywaną równowagę poczułam, że z niesłychaną szybkością koziołkuję w dół, mając usta pełne śniegu, i ten śnieg wszędzie: w rękawiczkach, w kieszeniach, za kołnierzem, w butach. Ale gdy po oprzytomnieniu i powstaniu z tej puszystej kąpieli znalazłam się znów na nieco drżących, ale, o dziwo, całych nogach, wiedziałam już, że tam, na górze niesłusznie myślałam o dwuch czarnych deskach uczepionych do moich nóg, że są skrzydłami... Bo czyż skrzydła mogą ciążyć?

To było wczoraj, a może dużo, dużo dawniej...

Myślałam dziś rano o tem, gdy przebiegałam na nartach obok gromadki dziewcząt, stojących pod laskiem, niedaleko mego mieszkania, w równiutko uformowanym szeregu.

Kurs narciarski. W przelocie zauważyłam na wielu twarzyczkach, różowych od mrozu, strach i niedowierzanie. Na kilku malowała się wyraźna niechęć do zjazdu.

Chciałam im krzyknąć w biegu:

— Ach, głuptaski! Odwagi! Troszeczkę więcej ufności do czarnych desek! Przecież narty to skrzydła, skrzydła nie ciężary!

Nie krzyknęłam. Poprostu nie zdążyłam; byłam już w dole i zjeżdżałam wciąż niżej i niżej. Wysoko nademną na biało-błękitnem zboczu czernił się wciąż jeszcze nieruchomy rząd maleńkich czarnych postaci. Za chwilę zaczną i oni sunąć po białem wzgórzu i zapewne wiele podkreśli ten czyn odwagi nieuniknioną kropką. Ale czy to ma jakiekolwiek znaczenie wobec faktu, że już jutro może, poczują, jak ja — kiedyś — gdy wiatr im zagwiżdże w uszach i z oczu łzy wyciśnie, gdy w królewskim pędzie przelatywać będą cudnym, a dla piechura niedostępnym szlakiem górskim, że są królewnami tej srebrzystej krainy, dzięki zwycięskim nartom — skrzydłom jesionowym.

H. Ż.

WYPADEK WALASIEWICZÓWNY.

Po powrocie do Polski z Igrzysk olimpijskich w Los Angelos, Walasiewiczówna, jak wiadomo, wstąpiła do Instytutu Wychowania Fizycznego na Bielanach.

Niedawno nasza rekordzistka wyjechała razem ze wszystkimi kolegami i koleżankami na kurs narciarski do Worochty.

Stasia nigdy jeszcze gór polskich nie widziała, i choć Czarnohora ,to nie Tatry, była niemi zachwycona i wzruszona ich surowem pięknem Z nartami zapoznała się również poraz pierwszy i odrazu całą duszą przylgnęła do tego pięknego sportu. Robiła szybkie postępy, z każdym dniem poprawiała swoją technikę i obiecywała sobie opuścić Worochtę jako skończona narciarka.



Stasia Walasiewiczówna.

Niestety, djabeł nie śpi. Pewnego dnia Stasia poszła na dworzec, wrzucić list do swoich rodziców w Ameryce. Przechodząc przez szyny potknęła się i zwichnęła nogę tak fatalnie, że obecne przy tem koleżanki na rękach odnieść musiały ją do domu. Kontuzja nogi okazała się dużo poważniejsza, niż początkowo przypuszczano, to też Walasiewiczówna musiała po paru dniach opuścić łóżko i wyjechać do Warszawy, aby oddać swoją nogę pod opiekę lekarzy-specjalistów.

Cała Polska sportowa z niepokojem śledzi losy choroby mistrzyni olimpijskiej; wszyscy zdają sobie doskonale sprawę, ile ucierpiałby nasz sport, gdyby uszkodzenie nogi miało zmusić Walasiewiczównę do wycofania się z czynnego życia zawodniczego.

Konsekwencje tego groźnego wypadku już teraz dają się odczuć: Walasiewiczówna nie pojedzie na mistrzostwa Słowiańskie w łyżwiarstwie do Morawskiej Ostrawy (Czechosłowacja), osłabiając w ten sposób znacznie naszą narodową reprezentację. Nie weźmie oczywiście także udziału w zimowych mistrzostwach lekkoatletycznych.

Oby się tylko na tem skończyło, to już będzie pół biedy. Narazie musimy życzyć dzielnej naszej obrończyni barw narodowych, aby jaknajszybciej wróciła do zdrowia i w dalszym ciągu rozsławiała imię polskiego sportu zagranicą.

*

Podczas choroby Walasiewiczówny zjawił się pewnego dnia przy jej łóżku korespondent amerykańskiego dziennika „Chicago Tribune". Z wielką ciekawością dowiadywał się o przebieg okaleczenia, a na zakończenie w imieniu prasy amerykańskiej zapytał się Stasi, czy nie żałuje startu na Olimpjadzie w barwach Polski.



Bez żadnych ogródek dał jej do zrozumienia ile przez to straciła i ile jeszcze mogłaby zyskać, gdyby zdecydowała się jeszcze teraz powrócić do Ameryki.

Stasia namyślała się bardzo krótko: „Nie żałuję ani trochę" odrzekła, „jestem bardzo zadowolona ze swego postępku ;trudno mi wprawdzie przywyknąć do tutejszych warunków, ale przecież wiedziałam, że życie w Polsce jest inne i wiedziałam, na co się decyduję. Proszę to zanotować, to moja odpowiedź Ameryce".

Tak wyglądają w świetle prawdy pogłoski o rzekomem rozgoryczeniu Walasiewiczówny na wszystko, co ją spotkało w Polsce.

W. T.

Młodym czytelniczkom "Świata Dziewcząt" Przesyłam pozdrowienia
Stasia Walasiewiczówna

Zbiorowy prezent

W kącie sali rekreacyjnej czwartaków wrzało, jak w ulu. Więcej, niż na każdej dużej pauzie.

— Wczoraj to tak zmarzłam, idąc na ślizgawkę.

— A ja tak się boję zimna.

— Wiecie, a Domańska, to lata w jesioneczce. Mówi, że taka zahartowana.

— Aha, a jakże. Dziś to była granatowa I wpakowała jakiś jeszcze sweterek.

— Taki sam zniszczony, jak palto.

— Rękawiczki, to ma takie wycerowane.

— Co to znaczy? Chyba o nią nie dbają w domu.

— A może sama jest bęcwał.

— Taak, pewnie sobie sama futro sprawił

— Wiecie co, żeby to zbadać? Może jest w trudnych warunkach.

— Dobraś, ale jak?

— Mogę wam pomóc — odezwała się Renia, ukochana „siódmaczka", która od dłuższego czasu przysłuchiwała się rozmowie.

— Och, ty kochanie, ty nam zawsze coś wymyślisz! Ale, jak się dowiesz — pytały jedna przez drugą.

— Poczekajcie, poczekajcie. Mam w tym domu kuzynkę, która tam jest administratorką. Zna lokatorów. Poproszę ją o informacje o rodzinie Domańskich. Jutro na pauzie wam powiem.

Dzwonek przerwał dalsze debaty, ale nazajutrz w ulubionym kącie czekano niecierpliwie Reni. Był coraz większy mróz, a Ola Domańska przyszła znów w jesionce, do której przypięła b... zniszczony kołnierzyk z futerka.

— Wiem wszystko — mówiła Renia. — Ola Domańska ma matkę wdowę, która zarabia pończosznictwem. Mają pokój z kuchnią i małego brata Oli na utrzymaniu. Zarobki coraz mniejsze, matka niedomaga i Ola sama dużo pracuje w domu. Rano sama przynosi i robi śniadanie, żeby matkę wyręczyć. Biedne są, ale bardzo ambitne.

— Musimy jakoś pomóc Oli.

— Ale jak?

— Prezentu nie przyjmie, kiedy taka ambitna.

— Nie możemy jej dać nic noszonego.

— A tak przykro patrzeć, że ona marznie.

— Ja wiem, jak mogłybyśmy jej pomóc — odezwała się nagle cicha, nieśmiała Jadzia, która nigdy nie odzywała się głośno.

— O, Jadwiga! Coś ty wymyśliła?

— Same jej wszystko zrobimy — odpowiedziała Jadzia z niezwykłą u niej pewnością głosu.

— Jakto?

— No, są przecież pomiędzy nami „szydełkarki" i „druciarki".

— Są, są.

— A widzicie! Kupimy zbiorowo wełnę, rozbierzemy robotę i damy jej prezent na imieniny.

— Och, Jadźka, ty jesteś genjalna.

— Czekajcie, czekajcie. Razem z Halą, Wandą i Janką obliczymy, ile trzeba wełny i kupimy, a jutro powiemy wam, jaka będzie składka.

— Doskonale, doskonale.

— Ale się trzeba spieszyć, bo tak zimno.

— Imieniny za tydzień.

— To się zrobi.

I znów dzwonek przerwał gorące rozprawy. Nie powracano do tej kwestji na małych pauzach, żeby nie wzbudzić uwagi Oli.

Nazajutrz okazało się, że cała klasa ma dać po 50 gr. na składkę. Wełnę kupiono granatową na sweter, a popielatą na szal i rękawiczki. Trzeba było tylko rozdać robotę.

— My proponujemy, — referowała Jadzia — żeby dla pośpiechu oddać robotę na dużą ilość rąk.

— No, jak, jak?

— Otóż Hala, Wanda i Janka, doskonałe „szydełkarki" zrobią sweter. Zrobią wykrój z papieru, jedna odrobi plecy, a dwie zrobią po jednym przodzie. Irka i Maryla zrobią po jednym rękawie. Pierwszego dnia popracują razem nad uzgodnieniem ściegów, a potem, to już dobrze pójdzie.

— No, a szal i rękawiczki?

— Szal zrobi na drutach Hanka. A Lutka i Stefa po jednej rękawiczce.

— O, to cudownie, cudownie.

— Ale, czy pomyślałyście, że jednak to zabierze dużo czasu — odezwała się „siódmaczka" Regina. — A przecież musicie odrabiać lekcje.

— Ach, prawda!

I nagle wszystkie speszyły się i posmutniały.

— Myślałam i nad tem — odezwała się Jadzia. — Pomożemy „szydełkarkom" i „druciarkom". Do każdej pójdzie korepetytorka - koleżanka i będzie jej głośno czytała lekcje pamięciowe. Ona lekcje wyda, a potem sobie jeszcze raz przed samem spaniem przeczyta.

— Doskonale.

— Ja pomogę.

— I ja, i ja — brzmiało wszędzie.

— Dobrze, dobrze, to już możemy uzgodnić prywatnie, pocichu. Korepetycja dozwolona tylko na dwa dni, żeby wszystkie mogły wziąć udział w pomocy.



Pierwszego dnia pracują nad uzgodnieniem ściegów.

— Dobra. Pracujmy od jutra.

— O, nie, od dziś. Każdy dzień drogi.

Tydzień minął, jak strzała. Rękawiczki były z mankietem z granatowym szlakiem. A szal miał granatowe paski i mieszaną frendzlę. Pozostało jeszcze zeszycie swetra.

I nagle wyłoniła się ogromna, nieprzewidziana przeszkoda. Jak dać ten prezent, w który tyle włożono zapału, serca? Jak go dać Oli, zamkniętej w sobie, ambitnej, poważnej i skupionej?

— Już doprawdy chyba poradzimy się naszej paniusi.

Pani wychowawczyni wysłuchała sprawozdania jednej delegatki i odpowiedziała:

— Cieszę się, że właśnie moje dziewczynki zdobyły się na taki subtelny czyn koleżeńskiej pomocy. Ale istotnie sprawa jest delikatna. Ola jest wrażliwa i nie można jej urazić. Jeżeli się zgodzicie, załatwię tę sprawę w waszem imieniu. Przynieście dziś wszystko do mnie do domu. A jutro nie przychodźcie do szkoły zawcześnie, żebym mogła z Olą pomówić sama przed lekcjami.

— Dziękuję, paniusiu złota, dziękuję za wszystkie. Tak napewno będzie dobrze.

Trochę niespokojne wchodziły do klasy czwartaki. Ale każdą witały rozjaśnione oczy Oli i ciepłe ręce, wychylające się z nowiutkiego sweterka.

— Dziękuję, dziękuję. Tak mi ciepło. Jakie wy jesteście dobre, że tak wszystko same. Paniusia mi wszystko mówiła.

— Ależ, Olu, to głupstwo.

— O, nie, nie. Przecież w każdym oczku roboty jest trochę waszego złotego serca. Tak chciałabym, żeby mamusia już to wiedziała. Ucieszy się.

* * *

— Zauważyłyście, że Ola od tygodnia nie ta sama.

— Taka zawsze zadowolona.

— Tak się ciągle cieszy.

— Mówi, że jak się sweter podrze, to go schowa na pamiątkę.

— I szal, i rękawiczki.

— Zabawne!

— A teraz się przyznała, że było jej tak zimno, tylko nadrabiała miną. Nie chciała, żeby się matka martwiła.

— Prosiłam mamusi, żeby wszystkie „oczka" w jedwabnych pończochach dawała do roboty pani Domańskiej.

— Wiesz i ja to samo zrobiłam. Już nadrabia skarpetki i pończochy dla chłopców.

— Musimy wszystkie popierać tę pracownię.

— Naturalnie.

* * *

W miesiąc potem Ola opowiadała, wmieszana w ukochany kąt:

— To od czasu moich imienin tak się zmieniło. Mamusia ma tyle roboty, że musiała wziąć dziewczynkę do pomocy. I czuje się doskonale. Nic się nie martwi. I mówiła, że jak tak dalej pójdzie, to Staś pojedzie latem do obozu, a ja do drugiego, nad morze. Tak o tem marzę.

— Pojedziesz, Olu, pojedziesz.

— Pończochy się przecież ciągle drą.

Mariola.



1. Szlafroczek z flanelki w pasy. Mankiety, pasek i kieszeń dane są wpoprzek, a kołnierz w pasy naukos. Zapięcie z boku.

2. Pyjama z jednobarwnej flanelki, zalamowana satyną w tym samym kolorze, do cieniu.

3. Suknia z wełny gładkiej i w kratę. Doskonały model na podłużenie zakrótkiej sukienki. Za pomocą kraty w pasie można podłużyć spódniczkę i stanik. Kołnierzyk i wysokie kloszowe mankiety wykonane są z tego samego materjału.

4. Fartuch domowy lub szkolny, zapięty przez całą długość na guziki. Kołnierzyk wykładany i rękaw koszulowy.

Do fartucha można dodać kieszenie. Jako materjał najlepsza jest popelina i alpaga.

CZARODZIEJSKIE PŁÓTNO

GWIAZDECZKI.

Od czasów pamiętnego „Kida" filmy dziecięce cieszą się w Ameryce wielkiem powodzeniem. Nie licząc „naszej bandy" popularnego zespołu dziecięcego, w filmie występują takie gwiazdy jak Jackie Coogan, jego młodszy brat Robert, Jackie Cooper, bohater filmu „Czemp" Mitzi Green — oraz mniej u nas znani — Junior Durkin, Jackie Searle, mała Dorota Grey, której występ w filmie był wręcz sensacją.

Nic też dziwnego, że wytwórnie stale poszukują młodocianych gwiazd i — otrzymują stale oferty od rodziców pragnących, aby ich pociechy stały się sławne. Rodzice ci opisują swe nieszczęścia i swe nadzieje, pragną aby ich dzieci spłaciły ich długi, lub aby stały się sławne, bogate, aby mogły kupować swym rodzicom auta i yachty. Wypadki takie nie są oczywiście częste, ale musiały się zdarzać, gdyż stan Kalifornia wydał prawo normujące te stosunki.

A dzieci filmowe zarabiają dużo: Mały Jackie Cooper dostaje 1500 dolarów tygodniowo, a prawo kalifornijskie pozwala mu tylko zużyć z tej sumy 80 dolarów tygodniowo, co na amerykańskie stosunki jest bardzo skromną sumą. Resztę pieniędzy Jackie są umieszczane w „pewnym" bankach i przedsiębiorstwach. Rodzice nie mają prawa zawierać kontraktów bez zgody sądu. W ten sposób „dzieci filmowe" dorosłszy, będą wcale bogate.

A trzeba przyznać, że pracują bardzo ciężko i wytrwale. Jackie Coogan zadebiutował, mając zaledwie cztery lata w filmie Chaplina p. t. „Brzdąc". Panował wtedy niepodzielnie na ekranie — jako jedyne naprawdę cudowne dziecko filmu. Gdy skończył lat dziesięć, ściął swą historyczną czuprynkę — krytycy orzekli, że karjera jego jest skończona. Tymczasem Jackie zaczął występować w filmach dla młodzieży. Jackie, Junior, Durkin, Jackie i Mitzi Green nakręcili podczas wakacji szkolnych aż dwa filmy „Przygody Tomka Sawyera" i „Przygody Hucka". Podczas kiedy ich rówieśnicy spędzali beztrosko czas, sympatyczna czwórka pracowała nad filmem. Wprawdzie przyznawali szczerze, że traktowali swą pracę jak zabawę, tem niemniej jednak nie mieli ani jednego dnia wolnego.

Mała Mitzi Green jedna z najzdolniejszych i... najmłodszych (ma 13 lat) aktorek filmowych jednocześnie chodzi do szkoły i pracuje. Wystąpiła ona w szeregu epizodycznych rółkach w filmach dla dorosłych, a oprócz tego nakręciła „Zakazaną przygodę" i „Małą sierotkę Annie".

Obecnie przybywają aż dwaj żywale filmowi do dziecięcego świata filmu, jest to Robert Coogan i Jackie Cooper.

Robert Coogan jest rodzonym bratem Jackie Coogana i podobnie jak jego starszy brat, zadebiutował mając lat cztery w filmie „Skippy", poczem nakręcił „Sooky", dalszy ciąg Skippy'ego. W tym samym filmie grał Jackie Cooper, późniejszy bohater „Czempa". Skippy jest bardzo popularną postacią w Ameryce. Co niedziela przy dziennikach ukazuje się dodatek humorystyczny dla dzieci, gdzie stale występują te same osoby, występuje tam także Skippy. Przez długi czas producenci poszukiwali chłopczyka podobnego do Skippy'ego — wkońcu znaleziono kogoś odpowiedniego. Był nim mały Jackie. Poza „Czempem" Jackie wystąpił jeszcze w filmie „Syn Donovana".

Rzecz charakterystyczna. Oto na pięciu młodocianych aktorów, jedyna młoda aktorka. Duża dysproporcja. Dziewczynki instynktownie widocznie przeczuwają niejeden cierń na drodze filmowej karjery.

Jack Bridge



Mitzi Green, najmłodsza z gwiazdek ze swoim ulubionym kotem.



Jackie i Robert Coogan.



Popularny „Skippy" — Jackie Cooper.

PRZYBORY TOALETOWE W PODRÓŻY

Na przybory toaletowe spotykamy w handlu gotowe nesesery. Uważam je jednak za niepraktyczne na wycieczki, gdyż są przeważnie ciężkie, z grubego i sztywnego brezentu i zabierają bardzo dużo miejsca.

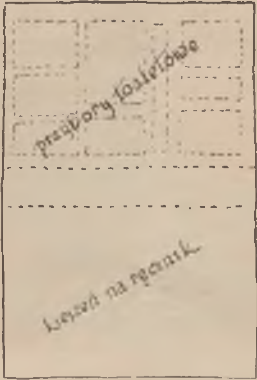
Przedmioty do mycia, czesania i t. p. można pakować dwojakim sposobem. Albo rozbić je na kilka grup (według częstości używania) i pakować w oddzielne woreczki, albo umieścić razem. Oba systemy mają swoje dobre strony. Jeden neseser, ułatwia szukanie — małe woreczki łatwiej upakować. Na wagę wypadnie to samo, gdyż małe woreczki mogą być z cieńszego materiału.

Jeżeli zdecydujemy się na oddzielne woreczki, grupujemy rzeczy następująco: 1) przedmioty potrzebne niemal na każdym większym postoju: ręcznik, mydło, szczotka do rąk. Umieszczamy je w zwykłym, prostokątnym, ściąganym na tasiemkę woreczku z materjału, dającego się prać.

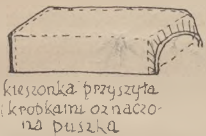
Woreczek ten będzie zapakowany na brzegu plecaka, aby łatwo go było wydostać; 2) przedmioty potrzebne rano i wieczorem: a) płaski kubek, proszek i szczotka do mycia zębów: b) lusterko, mała szczotka (bez rączki) i mały grzebień zwykły, c) pudełko z talkiem do nóg, łój kozłowy, ewent. wazelina. Te przedmioty umieszczamy w woreczku zeszytym z trzech kieszonek (woreczków) ściąganych oddzielnie. Można je pakować rozłożone na płask, albo złożone, zależnie od miejsca; 3) przedmioty potrzebne co pewien czas: brzytwa, lub gilette, pendzel i mydło do golenia, nożyczki, pilnik do paznogci, trochę kolońskiej wody, spirytusu salicylowego, trochę waty w maleńkim woreczku.

Na wędrowny obóz lub dłuższą wycieczkę w niewielkiej ilości osób, gdzie często wypada kolej szorowania garnków, dobrze jest wziąć w niewielką puszkę jakiegoś proszku lub zwykłego, szarego mydła, bez tego nie można w zimnej wodzie rąk domyć. Ponieważ jednak mycie temi środkami bardzo niszczy skórę, aby zapobiec pęknięciom trudnym do zagojenia i bolesnym, trzeba mieć jakiś krem toaletowy (tłusty). Do tej kategorji przedmiotów zaliczamy jeszcze kawałek marsylskiego mydła, które będzie służyć do prania i do mycia włosów, oraz zapasowe sznurowadło. Wszystkie te rzeczy umieścimy w woreczku, zeszytym z poszczególnych kieszonek, których wielkość dopasujemy do posiadanych puszek i pudełek.

Jeżeli wszystkie przybory toaletowe wolimy zgromadzić razem, uszyjemy neseser, którego wielkość będzie uzależniona od posiadanych przyborów — dlatego ściśle podać jej nie można. Najoszczędniejszym pod względem miejsca będzie neseser zamykający się jak książka (tak. jak woreczek na przybory do szycia). W jednej połowie będzie kieszeń na płasko złożony ręcznik (kieszeń ta będzie przynajmniej z jednej strony podszyta ceratką) w drugiej będą umieszczone ściśle obok siebie kieszonki na poszczególne przybory. Zamykamy neseser tasiemkami, obrączką z gumy, lub zamykamy na guziki i pętelki z gumy.

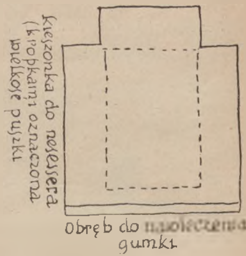


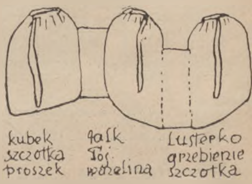
Wielkość nesesera najlepiej obliczyć w ten sposób: bierzemy arkusz papieru (choćby gazety) w środku dwoma linjami oznaczamy miejsce na grubość grzbietu (według najgrubszej puszki — 2 centymetry). Z jednej strony grzbietu układamy poszczególne przybory, zostawiając między niemi po 1 cm. miejsca na przyszycie kieszonek.



Gdy wszystkie się zmieszczą w zgrabnym prostokącie — łamigłówka dobrze rozwiązana.

Aby wszystkie rzeczy, które wyliczyłam (ewent. inne, które dana osoba uzna za potrzebne) nie zajęły zbyt wiele miejsca i nie ważyły za wiele, trzeba zwracać uwagę na każdy





drobiazg. Nie używajmy np. do mydła lub proszku ciężkich puszek szklanych, jak bywa w kupnych nesesrach, lecz aluminjowych, czy celluloidowych. Nie bierzmy puszek i pudełek zbyt dużych, w których mydło grzechocze, a proszku nie zużyjemy z nich nawet połowy. Rzeczy, które łatwo skompletować w drodze (mydło do prania) — nie bierzmy w zbyt dużej ilości. Jeżeli mamy tubkę z cold-cremem napoczętą — to nie kupujmy nowej, bo ta z pewnością wystarczy.

J. L.

DO NASZYCH CZYTELNICZEK!

1. Pamiętajcie o rozpowszechnianiu swego pisma wśród krewnych, przyjaciółek, koleżanek i znajomych.

2. Pamiętajcie o tem, że największe korzyści osiągniecie przez stałą prenumeratę, nie przez dorywcze kupowanie numerów.

3. Czy wiecie o tem, że w każdym urzędzie pocztowym możecie dostać czysty blankiet i wypełnić go prenumeratą

„ŚWIATA DZIEWCZĄT"

wpisując w odnośną rubrykę nasze konto P. K. O. Nr. 18.800, nie czekając na wysłanie przez nas specjalnego blankietu z kontem czekowem?

ADMINISTRACJA.

DOBRA KSIĄŻKA

Sportem interesują się zarówno chłopcy jak i dziewczęta! Jest to prawda stara (od niedawna!) jak świat, i z tego względu poświęcę dzisiejsze rozważania o książce — książkom sportowym. Narodziły się one stosunkowo niedawno kto wie, czy nie po tej sławnej dla nas Olimpjadzie, kiedy została nagrodzona pierwsza polska, naprawdę sportowa książka p. t. *„Laur Olimpijski"*. Teraz wyszedł cykl powieści sportowych p. t. *„Pięciu na Olimpjadzie"*, cykl, bardzo ciekawy, o którym pragnę właśnie pomówić.

Pierwszą książką z tego cyklu i, niestety, najsłabszą, jest powieść Jalu Kurka p. t. *„Mount Everest"*. Jest to historja wyprawy dwóch młodych alpinistów Mallory'ego i Irvine'a, którzy w roku 1924 wybrali się na szczyt Everestu. Ten niezmiernie ciekawy wątek przysypał autor zupełnie niepotrzebnie stylem nastrojonym na ton nieco fałszywej wzniosłości, która niszczy bezpośredniość i wiele szkodzi całości utworu.

Zupełnie innego rodzaju jest książka St. Zaleskiego pt. *„Największe zwycięstwo"*. Jest to osiem nowel, poświęconych pięściarstwu i sportowi wodnemu, w których występują ludzie młodzi i silni, wyrobieni sportowo, uporczywie dążący do wytkniętego przez siebie celu. Celem tym zewnętrznie jest zwycięstwo sportowe, celem rzeczywistym — zwycięstwo nad sobą, zwycięstwo moralne. Dokonuje tego zarówno młody robotnik, jak i bohaterzy nowelki *Zaginiony kajak* i *Na Rybitwie*.

Trzecia powieść sportowa, to Stanisława Szczawińskiego — *„Wicher"*. Historja konia, który z pełnego temperamentu i fantazji źrebaka, stał się pierwszorzędnym wyścigowcem. Wicher jest tak przemiłem stworzeniem, że bez trudu zyskuje sympatje czytelniczek, szczególniej, jeśli lubią one wogóle zwierzęta i żyją z niemi w przyjaźni. Ocenią one tembardziej znawstwo autora w zakresie „koniarstwa" i tembardziej z zapartym oddechem będą oczekiwały na kulminacyjny punkt książki — raid, który musi być oczywiście zwycięstwem Wichra.

Z. M.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

KTO TO ROZWIĄŻE?

Rozwiązanie zadań z 1 numeru.

1. WIRÓWKA.



Rozwiązanie wykonane przez p. N. Kazimierza Kozłowskiego z Warszawy.

2. KRZYŻÓWKA.



Rozwiązanie wykonane przez p. N. Kazimierza Kozłowskiego z Warszawy.

3. SYLABÓWKA.

Penaty, Alkierz, Noc, Sardou, Kojot, Iwa, Effendi, Orjon, Klio, Ochock.
Pańskie oko konia tuczy.

Trafne rozwiązania zadań z 1-go numeru nadesłali:
Gdynia: Lachmaniczówna Andrea;
Gołków: Orzeszko Halina;
Kielce: Jędruchowa Marta;
Lwów: Lesiukówna Anna;
Poznań: Studzianka Jadzia;
Skierniewice: Sobieska Lilka;
Tarnów: Podsońska Renata;
Warszawa: Chojnowska Hanka, Kozłowski N. Kazimierz, Paluch Jan, Słowikówna Wanda, Strubel Marja, Wiśniewski Franciszek, Wiśniewski Kazimierz.
Zabłocie: Dąmbska Hanka.

Nagrody wylosowali:
p. Jadzia Studzianka z Poznania,
p. Renata Podsońska z Tarnowa,
p. Wanda Słowikówna z Warszawy.

Do naszych Prenumeratorek!

Ze względu na częste omyłki, powstałe wskutek przekazywania należności na niewłaściwy Nr. konta w P. K. O., zwracamy uwagę na numer konta „Św. Dziewcząt", który brzmi

18.800

Wasza stronica

KOCHANY „ŚWIECIE DZIEWCZĄT".

Chciałabym bardzo do Ciebie coś pisać i pisać, ale nie wiem doprawdy o czem. O ile mi się to uda, spróbuję opisać Ci jeden z moich dni w szkole. Nazywam się Janka i już zaczynam moje opowiadanie:

— Serwus Janka!
— Jak się masz?
— Jaka pierwsza dziś godzina?
— Możebyś się ze mną przywitała?
— Nawet mnie nie pocałujesz! Jak tak można!
— Umiesz łacinę napamięć?
— Byłaś wczoraj na nartach?

Takiemi okrzykami powitały dziewczynki, wchodzącą do klasy Jankę. W takich zaś chwilach traciła ona zupełnie głowę. No, bo i jak tu odpowiedzieć na wszystkie zapytania. Po chwili zaś Janka spacerowała z Hasią, Zosią i Lusią po korytarzu, rozmawiając wesoło. Jednak po chwili zadzwonił dzwonek i trzeba było, chcąc nie chcąc zająć miejsca w klasie. Pierwsza była matematyka. W pewnej chwili profesor:

— Zabłocka (Janka) proszę do tablicy! — zawołał.

Janka, wychodząc z ławki rzuciła na klasę błagające o pomoc wejrzenie. Naturalnie zrozumiano ją. Trzeba ją przecież ratować.

— Proszę wykonać zadanie — brzmiał znowu głos profesora, gdy Janka blada ze strachu stanęła przed tablicą. Profesorowie wiedzieli, że Janka jest bardzo wątła i przy lada sposobności mdleje, (co jednak było może 1/4 części prawdą a reszta zwyklem udawaniem). Profesor zobaczywszy bladość uczennicy zapytał:

— Zabłocka, czy ci nie jest przypadkiem słabo? jakoś nieszczególnie wyglądasz?

— Właściwie niee... choć... nie... wiem... — jęknęła się Janka, walcząc z wzbierającym się już w niej śmiechem.

— W takim razie zapytam cię kiedy indziej. Możesz iść na miejsce — powiedział profesor.

Janka z lekkim sercem wróciła na miejsce. Nie oberwała przecież „cwajera". To grunt, reszta bajka. Na przerwie zaś opowiadała:

— Bądź co bądź ten „belfer" jest „klawy". Przecież wcale nie skłamałam, no może nie prawda? — zapytała Kazi.

— Głupi ma więcej szczęścia niż rozumu — odpowiedziała zagadnięta.

— Wiesz jednak co, nie wiem jak to dzisiaj dalej pójdzie, bo Bogiem a prawdą mówiąc, zupełnie na dziś nic nie umiem — mówiła zmartwiona Janka. Najniespodziewaniej jednak wszystkie lekcje przeszły jak najlepiej, bo Janka zupełnie nie była pytana. Teraz zostawała już tylko historja starożytna.

— To już bajka — mówiła Janka do Zosi — myślę, że już wszystko jakoś pójdzie. Chwała Bogu!

Zdziwiłby się ktoś, kto niespostrzeżony, mógłby obejrzeć klasę podczas historji. Na środku, przy katedrze stała jedna dziewczynka, która była pytana, a profesor poza nią i jej głosem nic nie widział i słyszał. A było jednak co widzieć, doprawdy! Zacznijmy od początku!

W pierwszej ławce siedziała: Hasia, Zosia i Lala. Pierwsza z nich chrupiąc orzeszki czytała jakąś książkę, którą trzymała pod ławką. Druga „posilała" się nie zjedzonym jeszcze drugim śniadaniem i z uśmiechem patrzyła na wszystkie strony, a tylko nie na katedrę. Trzecia sprzeczała się o coś żywo z Lalą, prawdopodobnie o to, kto jest ładniejszy: Brodzisz czy też Conti?

A teraz druga ławka. Tu siedzą dwie Idy, Zosia i Janka. Idy (obie) sznurują wysokie bucikі, gdyż prawdopodobnie nie zdążyły się z tem załatwić na gimnastyce. Zosia rysuje coś z największym zajęciem na ławce a Janka, jak Janka zawsze, rysuje — no co? Nie wiecie? A więc samoloty! Musicie przecież wiedzieć, że Janka chce i musi być lotniczką! Ho! ho!

No, ale trzeba iść dalej, czyli do trzeciej ławki. Tutaj siedzą: Ina, Hela, Hanka i Danusia. Ina przygotowuje na jutro zdania. Przecież teraz najodpowiedniejsza ku temu pora. Hela siedzi jak zawsze i marzy zapewne o niebieskich migdałach. Dalej Hanka „rzeźbi" ławkę sercami i literami, nie wątpiąc, iż spełnia jaknajlepszy uczynek. A wreszcie Danusia, to jedyna uczennica, która słucha lekcji, ziewając co kilka minut.

W następnej ławce Irka kombinuje jakieś nowe wiersze (pożal się Boże!), Genka, druga już w klasie, zajada drugie śniadanie, Janka (nie Zabłocka), czyli jak ją też nazywają „blond Wenus", przegląda się w lusterku, czyniąc komiczne miny. Wreszcie Staszka zaplata z zapałem warkocze.

O piątej ławce nie wiem już jak pisać. Hanka, największy zbytnik całej klasy, pisze list do Łodzi, który za chwilę pocztą powietrzną poleci do pierwszej ławki. Franka szczypie najlepszą uczennicę klasy, która, o zgrozo!, nie uwierzycie doprawdy co robi. No może zgadniecie? Jeżeli już nie możecie to wam muszę powiedzieć. Śpi (?). Ależ wierzcie mi proszę, nie „łżę" doprawdy. Śpi snem kamiennym i śni... o Jurku pewnie.

Tak wygląda nasza klasa na historji.

Napisałam Ci kochany „Świecie" jak przeżywam dzień i o ile to możliwe, chciałabym, ażebyś wydrukował to w „Świecie" po poprawie mu wszystkich błędów.

A teraz całuję cię z całej siły

Twoja Janka.

P.S. Wybacz mi tę plamę, która tak niechcący „się zrobiła!" Pa!

Warunki prenumeraty: rocznie — zł 10.—; półrocznie — zł. 5.—, kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1.—.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość łamu 54 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

Redaktorki: Hanna Januszewska Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ"
Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 244-18 i 787-03. Konto P. K. O. Nr 18.800
Redaktorka przyjmuje w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.